

**Sierpowski Stanisław, prof. dr hab.**

Uniwersytet im. Adama Mickiewicza (Poznań), Instytut Historii  
Adam Mickiewicz University, Poznań, Poland (stansierp@op.pl)

## **Polska w Europie, Europa w Świecie.**

Skutkiem wielkiego procesu wyzwalań – nie mającego precedensu w dziejach – mapa Europy i Świata w XX w. uległa gruntownej zmianie. Najsilniejsze emocje w skali kontynentu wyzwał proces narodowo-wyzwoleńczy obejmujący kilkanaście narodów, które z powodzeniem podjęły walkę o własne państwo. Polonocentryczna teza, wiążąca ten proces z I wojną światową, która rozbiła Austro-Węgry oraz osłabiła i na jakiś czas wyeliminowała z polityki europejskiej dalsze dwa mocarstwa tj. Niemcy i Rosję, wymaga poszerzenia o skutki przemian w Europie podczas ostatniego dziesięciolecia, kiedy niepodległość uzyskało więcej państw niż po I wojnie światowej.

Wspólnym elementem tych przemian jest stale postępujące rozdrobnienie Europy, jej swoista, źle się kojarząca, bałkanizacja. Bo też chronologicznie rzecz ujmując proces ten rozpoczął się na Bałkanach w związku z postępującym rozpadem Imperium Otomańskiego, co oznaczało powstanie takich państw jak Grecja, Rumunia, Serbia, Bułgaria i w 1913 r. Albania. Skutkiem I wojny światowej był upadek dwóch dalszych wielonarodowych imperiów – Austro-Węgier i Rosji, aczkolwiek carskie więzienie narodów odrodziło się w formie Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich, by z powodzeniem kontynuować politykę dominacji Rosji nad innymi narodami. Tym ważniejsze są przeto zmiany, jakie w końcu tego wieku dokonały się na Wschodzie Europy, które wyrażają zahamowanie ekspansji Rosji w kierunku Zachodu i Południa „starego kontynentu”. Dobitnie ukazuje to odrodzenie lub wyodrębnienie się

takich nowych państw jak Estonia, Łotwa, Litwa, Białoruś, Ukraina i Mołdawia. Wspólne tym procesom, które objęły także Czechosłowację (od 1993 r. podzielonej na Czechy i Słowację) oraz Jugosławię rozczłonkowaną na pięć części (zabiegi o dalsze podziały są w toku) jest to, że nowo powstałe państwa mają niewielkie terytorium, skromną liczbę ludności, najczęściej duże trudności gospodarcze oraz górę pretensji do sąsiadów.

Na tle postępującego rozdrobnienia Europy Wschodniej i Południowej sytuacja interesującej nas najbardziej Polski – państwa stosunkowo dużego, o sporym potencjale gospodarczym, jest stabilna. Jawi się ona, zwłaszcza od II wojny światowej jako ważny element ogólnoeuropejskiej koncyliacji. Widać to dobrze w perspektywie współczesnych stosunków z jej wszystkimi siedmioma sąsiadami, a więc liczby równie sporej co i w okresie międzywojennym. Rozumie się samo przez się, że międzynarodowa sytuacja Polski międzywojennej i współczesnej jest pod wieloma względami trudna do porównania. Lata 1918–39 to mimo wszystko czas rozejmu osiągniętego po niezwykle krwawej „wielkiej wojnie”. nierozwiązane lub wadliwie rozwiązane sprawy jątrzyły na tyle silnie, że od narodzin systemu wersalskiego więcej mówiono i myślano o rewizji i rewanżu niż o konstrukcji i współpracy.

Złe lub bardzo złe stosunki odrodzonej Polski ze wszystkimi jej sąsiadami miały głębokie, wzajemnie mocne podstawy i uzasadnienie. Zmiana mapy w tej części Europy dokonywała się na drodze walki z europejskimi imperiami, z których dwie – Niemcy i Rosja – ani wówczas, ani później nie zrezygnowały ze swej wybitnej pozycji. Ich okresowe osłabienie nie zmieniało istoty polskiego dramatu wynikającego z geopolityki, którą chętnie i często uznaje się za historyczną zmołę. Podczas I wojny światowej, a więc u progu historycznego XX wieku gdy przez jej ziemie przebiegał drugi (po francusko–niemieckim) co do ważności front angażujący wojska niemieckie, austriacko–węgierskie i rosyjskie. Newralgiczny charakter geopolitycznego położenia Polski uwypukliły lata międzywojenne. Jej międzynarodowe znaczenie zostało wówczas wysoko

wyniesione przez to, że stała się ona najpoważniejszym buforem mającym powstrzymać ekspansję bolszewizmu z jednej strony oraz przyjąć na siebie i wytrzymać jak długo będzie to możliwe – brany stale pod uwagę – rewanż niemiecki.

Ta, do pewnego stopnia tradycyjna rola Polski uległa od II wojny światowej zmianie. Stała się ona obiektem już nie tylko europejskiej (jak to było w XVIII w.) ale globalnej rozgrywki, zdominowanej przez supermocarstwa oraz bipolarny układ stosunków w świecie. Zmiana tego układu w ostatniej dekadzie XX wieku była efektem długiego procesu, z różnie rozkładanymi akcentami przez społeczeństwa skore do uczestniczenia w zwycięskiej uczcie. Rola Polski była o tyle ważna, że była ona w ramach kreowanego systemu społeczno-politycznego nazywanego socjalizmem, często także komunizmem państwem najbardziej opornym wobec dyktatu moskiewskiego i najbardziej zaawansowanym na drodze odwrotu od stalinowskich, później radzieckich założeń ustrojowych oraz towarzyszącej im praktyki.

Ważnym elementem tej specyficznej roli Polski było głębokie przekonanie społeczeństwa polskiego, że zawsze stanowiło ono część zachodnio-europejskiego dziedzictwa kulturowego, którego fundamenty stanowi cywilizacja łacińska, chrześcijańska. Tak zresztą była ona i jest widziana przez narody Wschodu Europy, dla których Polska jest właściwie „Zachodem”. Ale też trzeba przypomnieć, na co zwracano już wielokrotnie uwagę, że Polska to jakby kraj obrotowy: Zachód dla Wschodu, ale zarazem Wschód dla Zachodu. Antoni Słonimski w 1934 r. w sztuce „Rodzina” pisał o Polsce proroczo: „Jesteśmy czymś w rodzaju przedmurza, ale przedmurza obrotowego. Od Wschodu albo od Zachodu. Zależnie od koniunktury”. U Sławomira Mrożka w sztuce „Kontrakt” z 1986 r. powiedziano: „Pochodzę z kraju położonego na wschód od Zachodu i na zachód od Wschodu”. Bronisław Geremek w dyskusji na XVI Powszechnym Zjeździe Historyków Polskich (wrzesień 1999) sprzeczność między tendencją do traktowania Polski jako

najbardziej wschodniego kraju Zachodu i tendencją do traktowania jej jako najbardziej zachodniego kraju Wschodu nazwał nawet „schizofreniczną”.

Z reguły dobre stosunki niemiecko–rosyjskie negatywnie ważyły na sytuacji Polski, czego doświadczyła ona najsilniej po zainaugurowaniu polityki rapalskiej w 1922 r., a zwłaszcza współpracy z lat 1939–1941, zdominowanych układem Ribbentrop–Mołotow. Fatalnie lub kiepsko kształtowała się sytuacja Polski także wówczas, gdy między graniczącymi z nią kolosami (gospodarczym z jednej strony oraz militarnopolitycznym i ludnościowym z drugiej) została zachwiana równowaga. Najpełniej stan ten wystąpił po II wojnie światowej, co spowodowało, że Polska została okolona przez Rosję, która okupowała i zarządzała wschodnimi obszarami Niemiec oraz włączyła do swego zewnętrznego imperium Czechosłowację. Sytuacja ta nie uległa zmianie także wówczas, gdy w 1949 r. powstała Niemiecka Republika Demokratyczna. Jej powstanie, chętnie krytykowane i lekceważone, odegrało dodatnią rolę w dokonującej się zwolna reorientacji nastawienia Polaków do Niemców. „Enerdowncy”, którzy już w 1950 r. uznali oficjalnie granicę na Odrze i Nysie i uznawali ją za granicę pokoju, byli w propagandzie państw strefy radzieckiej przedstawicielami dobrych Niemców: tych, którzy byli przeciwnikami hitleryzmu, a współcześnie wrogami imperializmu wielkogermańskiego utożsamianego z Niemcami Zachodnimi. Trzeba też wskazać, że wśród elit NRD ogromnym powodzeniem cieszyła się teza, upowszechniona później wśród wszystkich Niemców, że większość z nich została zniewolona przez zbrodniczą klikę Hitlera. Byli więc oni tak samo ofiarami nazizmu jak obywatele innych państw, których w różny sposób represjonowali.

Spółeczeństwo polskie na ogół nie podzielało tego przekonania twierdząc, że odpowiedzialność za zbrodnie popełnione podczas wojny ponosi cały naród niemiecki. Z niekłamanym oburzeniem przyjmowało informacje o łagodnym traktowaniu przez sądy Republiki Federalnej osób oskarżonych o nadmierną gorliwość w latach wojny. Dotyczyło to także zgłoszonego przez episkopat

ewangelicki postulat „grubej kreski” wytyczonej przez datę 8 maja 1945 r. co spotkało się w całych Niemczech z aplauzem i silnym poparciem.

W ogólnym obrazie obowiązującego prze cały XX wiek przekonania o istnieniu dwóch głównych wrogów społeczeństwo polskie nie zachowało jednolitej postawy. Niewątpliwie mieszkańcy regionów północno-zachodnich bardziej byli wyczuleni na zagrożenie niemieckie; obszary zdominowane do I wojny światowej przez Rosję prezentowały większą niechęć do wszystkiego, co miało moskiewską etykietę. Jednak stale podkreślana i przypominana w latach PRL-u wyzwoleńcza rola Armii Czerwonej oraz powstałego u jej boku Ludowego Wojska Polskiego stanowiła ważny element rozwoju teorii jednego „odwiecznego wroga”, stale dybiącego na ziemię polskie, leżące na drodze jego niezaspokojonych aspiracji. Propaganda proradziecka mogła odegrać w tym procesie o tyle dużą rolę, że na łamach gazet, w radiu i na różnych zebraniach stale rozważana była alternatywa nowej agresji. Psychoza wojenna szczególnie silna w latach zimnej wojny i kojarzona z zagrożeniem niemieckim stała się w latach PRL ważnym, niesłusznie lekceważonym źródłem legitymizacji władzy. Ponadto im groźniejszy stan stosunków globalnych, często najściślej powiązanych z różnymi aspektami kwestii niemieckiej, tym większa złość na tych, co nie tylko spowodowali największy w dziejach pożar Polski, Europy i świata, ale nadal nie pozwalają spokojnie żyć i cieszyć się świetlaną perspektywą.

W tym kontekście dramat przegranego, podzielonego narodu niemieckiego, od 1933 r. żyjącego w stanie gorącej lub zimnej wojny nie wzbudzał w społeczeństwie polskim współczucia, tym mniej sympatii. Środze odczuli to także ci Niemcy oraz autochtoni, którzy pozostali lub powrócili na ziemię leżące na wschód od Odry i Nysy Łużyckiej. Przez kilka lat poszukiwaniom najmniejszych nawet śladów polskości na tych ziemiach towarzyszyło intensywne co i brutalne likwidowanie śladów germańskich. Maria Dąbrowska, pod datą 26 czerwca 1952 r. zanotowała: „żeby zjednać sobie

autochtonów tych ziem winniśmy byli przyjść tam nie z wrzaskiem o końcu nędzy kapitalistycznej, ale z jeszcze lepszą kulturą i cywilizacją, z jeszcze wyższą organizacją życia, z jeszcze większą szansą na zamożność. A mu cośmy przynieśli tym ziemiom? Rosyjski bród i smród, polskie bezprzykładne szabrownictwo, zaniedbanie, zdziczenie ogrodów, odłogi, ogonki, biedę, a teraz niemal głód. I nadal piękne słowa bez pokrycia mają tym ludziom wystarczyć za to, co mieli?”<sup>1</sup>

Znamienny to fakt, że trwający tyle lat spór wokół „wysiedlania–wypędzania” zachowuje swą żywotność. Za postęp wszakże trzeba uznać deklaracje z ostatnich lat kończącego się wieku, że strony nie będą instrumentalnie posługiwały się historią dla forsowania swego punktu widzenia, wywołującego wrogość strony przeciwnej i naturalną skłonność do wskazywania bardziej winnego. Pewną, zawsze jednak ograniczoną wyrozumiałość Polaków dla tez niemieckich wiązać należy z nasiloną od lat 80 dyskusją na temat kresów wschodnich. Każdy, kto pisał i mówił o utraconym Wilnie czy Lwowie, o wspaniałościach tam utraconych lub zostawionych podsuwał słuchaczom i czytelnikom myśl, że oto takie same odczucia towarzyszą Niemcom odwiedzającym ich rodzinne strony, które teraz są w Polsce. Z drugiej strony – i tu i tam – dawne gospodarstwa mają już nowych gospodarzy, którzy byli „na swoim” od dwóch, nieraz trzech pokoleń, o czym zaświadczały rodzinne groby.

Spółeczeństwo polskie, które w ogromnej przewadze przyjęło granicę na Odrze i Nysie jako najważniejszy, całkowicie uprawniony akt zadośćuczynienia ze strony pokonanych, z wielkimi acz malejącymi oporami recenzuje ekspansję kapitału niemieckiego. Zjawisko to – w odniesieniu do Europy Wschodniej determinowane szeregiem czynników będących następstwem przemian politycznych, niską ceną siły roboczej oraz niewielkimi kosztami transportu – uległo w ostatnich kilkunastu latach wyraźnemu nasileniu. Eksport niemieckich

---

<sup>1</sup> M. Dąbrowska, *Dzienniki powojenne 1945–1965*. Warszawa 1996.

towarów do takich państw jak Bułgaria, Czechy, Polska, Rumunia, Słowacja, Słowenia, Węgry oraz kraje bałtyckie, był w 1999 r. większy niż Stanów Zjednoczonych, Francji, Wielkiej Brytanii i Austrii razem wziętych.

Wybitna wręcz przywódcza rola gospodarki niemieckiej w Europie stanowi nie tylko obiekt zazdrości partnerów z Unii Europejskiej oraz Stanów Zjednoczonych, ale także teren gorących dyskusji polityków mniejszych państw maltretowanych obawami, że stare cele Niemcy osiągają z pomocą gospodarczej broni. W tym sensie wiek XX, jakkolwiek z różnie rozkładającymi się akcentami natury gospodarczo–politycznej i militarnej dowiódł roli i znaczenia szeroko rozumianej kwestii niemieckiej. Nie jest przesadą uznanie jej jako najważniejszej, najbardziej brzemiennej w skali kontynentu oraz jednej z centralnych dla świata. Uprawnione jest nawet nazywanie kończącego się stulecia wiekiem Niemiec, które wchodziły weń i zamykają go pierwszorzędną pozycją kontynentalną i globalną. Dziś bardziej niż kiedykolwiek o niemieckiej sile współdecyduje rozwijająca się gospodarka, determinowana nowoczesną technologią i stale doskonaloną organizacją produkcji oraz zasobów pracy.

Konfrontacja Polski z tym europejskim, a jednocześnie stale nam bliskim – tak geograficznie jak i gospodarczo – partnerem wypada marnie. Nie jest to nic nowego. Wydobycie węgla, zaliczane w polskiej świadomości do narodowej specjalności wynosiło w 1936 r. 30 mln ton, podczas gdy Niemcy wydobywali 150 mln ton, czyli 5 razy więcej; przy niewiele większej liczbie ludności, aż 14-krotna różnica występowała w produkcji elektryczności, 26-krotna w liczbie aut na tysiąc mieszkańców. W tym drenowanym gospodarczo przez hitleryzm społeczeństwie, żyjącym na co dzień pod urokiem margaryny i marmolady, zachwycono się perspektywą kupna „Volkswagena” (po wojnie wyprodukowano go 21 mln sztuk, więcej niż jakiegokolwiek innego auta) czy też przekazem transmisji telewizyjnej, który w 1935 r. obejrzało 300 tys. Berlińczyków w gmachu ReichPost.

Ugruntowana, tradycyjnie wysoka przewaga gospodarki niemieckiej nad polską w sposób naturalny i oczywisty zachęcała do wykorzystania posiadanych atutów. Od zarania odrodzonej w 1918 r. Polski problem ten był obecny w praktyce gospodarczo–politycznej oraz świadomości obu państw i narodów. Dążeniu do „rzucenia Polski na kolana”, do „wykończenia jej” jako państwa powstałego na „krzywdzie niemieckiej” towarzyszyła stała kontrakcja rządów polskich mających silne oparcie w społeczeństwie oraz aktywnych na tym polu organizacjach jak Związek Obrony Kresów Zachodnich, Polski Związek Zachodni czy Towarzystwo Rozwoju Ziem Zachodnich i Północnych. Oparcie to stanowiło jeden z powodów, że nawet w okresie szczególnej dominacji polityki nad gospodarką, jak to bardzo wyraźnie wystąpiło np. w czasie wojny celnej, ciągnącej się w latach 1926–1935, polityczne ani gospodarcze cele Niemiec nie zostały osiągnięte. Można nawet mówić o elementach dodatnich tych inicjatyw (podobnie jak autarkii czasów hitlerowskich) jako wymuszających od polskich sfer gospodarczych i rządowych większej uwagi dla nowych rynków zbytu oraz poprawy konkurencyjności polskich towarów.

Niemcy jako prężny, dobrze funkcjonujący organizm gospodarczy zawsze, nawet w czasach dominacji radzieckiej, odgrywały dla Polski ważną, a w okresie międzywojennym i ostatnim dziesięcioleciu wiodącą rolę. Znaczenie polsko–niemieckiego sąsiedztwa zwielokrotniają współcześnie 34 przejścia graniczne będące jednocześnie oknem całego Wschodu do Unii Europejskiej. Ta właśnie Unia, bardziej niż jakiegokolwiek wcześniej istniejące organizacje gospodarcze o regionalnym czy światowym zasięgu współkształtuje stosunki nie tylko wśród piętnastki jej członków, ale także owej „15” z resztą kontynentu. Pod jej strukturami finansowymi z powodzeniem skrywa się ekspansja na rynki wschodnioeuropejskie krótko terminowego kapitału o wyraźnie spekulacyjnym charakterze. Zjawisko to dobrze poznane z doświadczeń „azjatyckich tygrysów” (Tajwan, Singapur, Malezja, Filipiny) porównuje się do góry pieniędzy

przelewających się przez kasyna gry. Ssanie słabych gospodarek narodowych mogło być tym skuteczniejsze o ile stworzona została możliwość transferowania zysków za granicę. Walka zwolenników kontroli ruchu kapitałów (np. poprzez zobowiązania do pozostania w danym państwie przez jakiś czas lub reinwestowania tam części zysku) z szermierzami wolnego rynku nabiera stale na ostrości. Członek Brytyjskiej Akademii Eric Hobsbawm analizując w książce „Wiek skrajności” wielki kryzys gospodarczy z lat 1929/1933 eksponuje opłakane skutki „finansowej ortodoksji” polegającej na tym, że politycy i ekonomiści pozwalali gospodarce biec swoim torem, koncentrując się na równoważeniu budżetów i ograniczaniu kosztów. „Ci spośród nas, którzy przeżyli wielki kryzys ciągle nie są w stanie zrozumieć, że tak wyraźnie skompromitowane ortodoksyjne teorie czystego rynku znów mogły wziąć górę w okresie kryzysu światowego końca lat osiemdziesiątych oraz w latach dziewięćdziesiątych”<sup>2</sup>.

Chociaż wszechwładzę wolnego rynku nazywa się ekonomicznym horrorem, to jednak poszukiwanie dużego kapitału inwestycyjnego stanowi klucz do rozwoju państw znajdujących się, jak Polska na odległym miejscu w rankingu europejskiego dobrobytu. Skalę trudności uzmysławia fakt, że bogactwo przeciętnego Polaka w końcu wieku wynosiło 35% bogactwa obywatela unijnego. Radość i samozadowolenie z powodu ewidentnych i łatwo dostrzegalnych zmian w jakości życia przeciętnego Polaka w tym lawinowo przyrastająca liczba samochodów, eksplozja turystyki zagranicznej, powszechność telewizji satelitarnej, internetu czy użytkowników telefonów komórkowych (w połowie 2000 r. było ich w Polsce już 5 mln, chociaż w Szwecji komórkę miał co drugi obywatel) nie pomniejsza dystansu dzielącego Polskę nie tylko od europejskiej czołówki, ale także unijnych autsajderów jak Grecja czy Portugalia. Poza wszystkim Polska końca wieku ma 62 mld dolarów długu, który narastał stopniowo, skacząc – po oszczędnym Gomułce – do 22

---

<sup>2</sup> E. Hobsbawm, *Wiek skrajności*, 2000.

mld za czasów niezmiennie dobrze pamiętanego Edwarda Gierka. Suma ta poważnie wzrosła w latach 80, podczas wywołanego przez stan wojenny bojkotu gospodarczego, kiedy to nasi wierzyciele narzucili karne odsetki w wysokości 18% rocznie, co – raczej pochopnie – zostało uznane przez pierwszy solidarnościowy rząd Tadeusza Mazowieckiego. Wśród zwolenników przekonania, że wolny świat jest jednak Polsce coś winny za zryw, który otworzył drogę do zasadniczych przemian w skali kontynentu i świata, pojawiły się wówczas i trwają do dziś głosy o cynizmie kapitału głoszącego wspaniałe słówka, ale bezwzględne w egzekwowaniu zysków. Dopelnieniem tego mało atrakcyjnego obrazu jest to, że aż 73% społeczeństwa polskiego nie posiadało w połowie 2000 r. żadnych oszczędności.

W ostatniej dekadzie społeczeństwo polskie – jak nigdy wcześniej – uświadomiło sobie jedną z charakterystycznych cech gospodarki polskiej, mianowicie wysoką przewagę importu nad eksportem. Niebezpieczna okazała się zwłaszcza wadliwa i mało rozwojowa struktura polskiego importu, który tylko w 15% jest przeznaczony na inwestycje; w 65% jest to import zaopatrzeniowy, a w 20% konsumpcyjny. Rygorystyczna obrona twardej złotówki przy niezaspokojonym, przez lata odkładanym popycie wewnętrznym pogłębiła deficyt obrotów bieżących bilansu płatniczego, który z 7 mld USD w 1998 r. wzrósł do prawie 12 mld dolarów w 1999 r. Owa prawie 70% nadwyżka importu nad eksportem była nazywana nawet załamaniem, gdyż wystąpiła mimo dobrej koniunktury w krajach UE (z której pochodziło 66 % polskiego importu) oraz wyraźnego ożywienia gospodarki rosyjskiej. Deficyt objął także wymianę z Rosją (blisko 2 mld USD) oraz z Chinami (miliard deficytu).

Zapóźnienie gospodarcze Polski pokazuje utrzymująca się przez cały wiek niska efektywność polskiego rolnictwa. W latach 1931–35 z jednego hektara zbierano 11q pszenicy, natomiast w Czechosłowacji o połowę więcej, a w Niemczech – jeszcze raz tyle. O kulturze rolnej i warunkach egzystencji milionów mieszkańców wsi, zwłaszcza Polski B i C nie da się powiedzieć

niczego dobrego. Próby gruntownej zmiany struktury własności oraz przeoranie świadomości polskiego chłopca przez intensywną kolektywizację okazały się pod wieloma względami chybione. Także późniejsze inicjatywy, polegające na stopniowym rozwoju gospodarki wysokotowarowej, szczególnie widoczne w latach 70 dały ograniczone efekty. W bardzo wolno, niejako naturalnie postępującym procesie reorganizacji i modernizacji wsi ostatnie dekady XX w. trzeba uznać także za stracone. W końcu wieku polski rolnik produkował w ciągu roku towary za 6 700 zł. Jest to blisko 10 razy mniej niż produkował przeciętny rolnik „15” i co najmniej 2,5 razy mniej niż rolnicy takich państw jak Słowenia, Węgry, Czechy czy Estonia.

Wielkim brzemieniem dla polskiej wsi był i pozostał nadmiar rąk do pracy. Mimo dużego przesunięcia ludności ze wsi do miast, które dokonało się w latach intensywnej odbudowy oraz tzw. socjalistycznej industrializacji, liczba ludzi zbędnych na wsi jest nadal ogromna. Upadek wielu drobnych gospodarstw powoduje wielkie problemy egzystencjalne rodzin pozbawionych stałego źródła dochodu.

W części tylko ludzie wsi są wliczani do 2,5 milionowej armii bezrobotnych, która towarzyszy polskim przemianom ostatniej dekady XX w. Zjawisko bezrobocia, zasadniczo obce mentalności ukształtowanej pod wpływem stałej w PRL-u pogoni za rękami do pracy, stanowi wielkie novum, z którym zwłaszcza starsza część społeczeństwa oswaja się z wielkim trudem. Zaskoczenie towarzyszące pierwszym upadłościom z lat 1989/1990 stopniowo przerodziło się w duży problem społeczny i ekonomiczny, łagodzony przez eksplozję zatrudnienia w szarej strefie, zwłaszcza dużej w handlu i usługach, budownictwie, chociaż także w produkcji przemysłowej. Systematyczne jej ograniczanie, czego koniecznym elementem było duszenie handlu bazarowego i przygranicznego, zaostrzało konflikty społeczne wokół bezrobocia, którego rozwiązania w bliskiej przyszłości nie widać. Trudno też spodziewać się rozstrzygnięcia sporów czy lepiej utrzymywać płace oraz wydatki socjalne na

niskim poziomie, czy może lepiej dążyć do wzrostu popytu wewnętrznego poprzez dopływ pieniądza na rynek co zwiększy popyt i nakręci koniunkturę, czy też konsekwentnie ograniczać czas pracy otwierając możliwości zatrudnienia dodatkowym osobom.

Ogólnospołeczna debata poświęcona makroekonomicznym kosztom bezrobocia stale zahacza o jakość i efektywność polskiego pracownika. Wcale nie zostały odesłane do lamusa historii krytyczne, w części obraźliwe opinie znajdujące wyraz w stale pojawiających się Polenwitze, jak np. żart, że w ogłoszeniu prasowym o treści „uczciwy Polak z własnym samochodem poszukuje pracy” – są trzy nieprawdy...

Z badań „Pentora” przeprowadzonych w połowie 2000 r. wynika, że Polacy pracują sześć razy mniej efektywnie niż Francuzi czy Irlandczycy. Spośród ustawowych 1750 godzin przeciętny Polak pracuje tylko 1500 godzin, co daje tygodniowo niecałe 30 godzin, zamiast formalnie obowiązujących 42 godzin. Dane te plasują polskich pracowników na odległym miejscu w Europie, nawet za „ciepłolubnymi” Grekami, Hiszpanami i Portugalczycami.

Polskę ostatnich lat XX wieku charakteryzowała ochota do bardziej wyrafinowanej konsumpcji wyrażająca się ogromnym zapalem do turystyki zagranicznej. Jeśli do 1989 r. statystyczny Polak wyjeżdżał za granicę raz na trzy lata, to dziesięć lat później przekraczał granicę w celach nie służbowych dwa razy w roku. W najbogatszych państwach Europy utożsamianych z UE przeciętnie 30% rodzin nie korzysta z turystyki zagranicznej. W odniesieniu do Portugalczyków czy Greków odsetek ten oscyluje wokół 55%. Nie jest też bez znaczenia rozwój na polskim rynku turystycznych firm niemieckich oferujących nieporównanie uboższym obywatelom Polski usługi na takich samych warunkach co obywatelom unijnym, w tym także najbogatszym z Luksemburga, Danii i Niemiec.

Chociaż współpracę niemiecko-polską stale rozsadzają różne stare zaszłości i nowe obawy (choćby strach przed zalewem taniej siły roboczej ze

Wschodu, ale też niepokój Polaków o przekształcenie ich w unijnych parobków) to jednak kontakty te w generalnym ujęciu miały rozwojowy charakter. Rywalizacja wymuszała doskonalenie produkcji i wymiany, silnie oddziałując na aspiracje społeczne Polaków w miarę rosnących po październiku 1956 r. kontaktów zagranicznych. Przełomowe znaczenie miało otwarcie w 1972 r. granicy z NRD i Czechosłowacją oraz liberalizacja w kontaktach międzynarodowych będąca elementem odprężenia ogólnoświatowego związanego z pracami Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie. Rozpoczęty wówczas proces, mimo okresowych załamień rozwijał się czyniąc z Polaków naród podróżujących handlarzy, z upodobaniem konfrontujących się z innymi narodami, zarówno w ich krajach jak również z obcymi, napotykanymi na riwierach Grecji, Włoch czy Hiszpanii.

Ruchliwość ta połączona z imponującym rozwojem telewizji satelitarnej i niemal powszechną komputeryzacją przeorywała polską świadomość w kierunku akceptacji przekonania, że we współczesnej epoce partykularyzm i izolacjonizm są coraz większym anachronizmem. Wręcz rewolucyjnym zmianom podlegała obyczajowość oraz ogólne warunki życia codziennego. Wyposażenie mieszkań w telewizory i magnetowidy było w końcu stulecia porównywalne z państwami UE. Dotyczyło to także tak ważnych dla prac domowych urządzeń jak lodówki, a zwłaszcza pralki automatyczne, które zrewolucjonizowały życie i rolę kobiet w ogóle. Szczególne miejsce w stale poszerzającym się procesie uspołeczniania kobiet odegrały lata I wojny światowej, kiedy musiały one zastąpić wojujących mężczyzn nie tylko w domach, ale także w fabrykach. Dokonująca się emancypacja, dodatkowo uzasadniająca nazwanie tego stulecia wiekiem wielkiego wyzwolenia, była procesem wszędzie przebiegającym z ogromnymi oporami. Po I wojnie światowej nadal w wielu państwach – jak np. Belgii, Francji, Szwajcarii, czy Italii – kobiety nie korzystały z prawa wyborczego; we Francji uzyskały je po II wojnie światowej, a Szwajcaria przyznała prawo głosu kobietom na szczeblu

federalnym dopiero w 1970 r. Historia dostarcza w tej materii dziwnych nieraz informacji. W Stanach Zjednoczonych najwcześniej zaczęto uznawać prawo kobiet do głosowania (od 1870 r. w stanie Wyoming) ale dopiero w 1992 r. pojawiła się w Senacie USA damska toaleta.

Wzrost aktywności zawodowej i społecznej kobiet, dzięki prasie, filmowi, telewizji (także Walentynie Tierieszkowej w kosmosie w 1963 r.), powodował rozwój uniwersalnej mody. Od wielkiego buntu młodych 1968 r. upowszechniać się zaczęła moda unisex, której symbolem stały się dzinsy i buty typu adidas. Preferowało to – podobnie jak spódnica mini – sylwetkę szczupłą, co otwarło nowy rozdział w walce z otyłością jako czynnikiem pogarszającym stan i komfort życia („puszyści” w Polsce to 70% ogółu!). Kolejnym etapem trwających zmagañ był skokowy wzrost zainteresowania sportem, zwłaszcza biegami i aerobikiem oraz rozwojem farmakologii i chirurgii plastycznej. Powszechny zasięg zatoczyła odwieczna zresztą walka ze starością. W ciągu tego wieku europejska medycyna wygrała walkę o przeżycie ludzi od 0 do 40 lat. Sukces ten widać także w Polsce, gdzie w połowie wieku przed osiągnięciem 40 roku życia umarło 27% mężczyzn i 22% kobiet. Drugie półwiecze, mimo nadumieralności mężczyzn w wieku produkcyjnym przyniosło poważny postęp w długości życia, które dla kobiet wynosi 77 lat, a dla mężczyzn już prawie 69 lat.

Młoda część społeczeństwa polskiego w ostatnich dwóch dziesięcioleciach XX w. zakwestionowała tradycyjny wzorzec obyczajowy nakazujący poślubionej parze mieć dziecko w ciągu roku. Stopniowo upowszechnił się model wiążący macierzyństwo z materialnymi warunkami życia. Wychowanie i wykształcenie stało się ważniejsze, ale też i coraz droższe na skutek odchodzenia państwa od jego „opiekuńczej funkcji”. Rodzina w hierarchii wartości społecznych została zdystansowana przez wykształcenie, dobrą pracę zawodową i wysokie zarobki.

Młodzi ludzie współtworząc lub akceptując powyższy model oraz stojąc na stanowisku, że lepiej mieć mniej dzieci, ale otoczyć je lepszą opieką przyczynili się do demograficznej zapaści, która dotknęła Polskę na przełomie wieków. Szok spowodowany przez zerowy przyrost demograficzny (de facto ujemny zwłaszcza jeśli liczyć większą emigrację niż imigrację) był tym wyraźniejszy, że Polska należała do najludniejszych państw Europy, ustępując w okresie międzywojennym wyraźnie tylko Związkowi Radzieckiemu, Niemcom i Wielkiej Brytanii oraz niewiele, bo tylko o 7 mln Francji i Italii. Polska w tym czasie przewyższała też znacznie, bo niemal dwukrotnie średnią dla Europy gęstość zaludnienia, która w 1938 r. wynosiła 46 osób na 1 km<sup>2</sup>. II Rzeczpospolita była natomiast zdecydowanym liderem pod względem dynamiki przyrostu naturalnego, który wyniósł 1,5%, dystansując takie państwa jak Związek Radziecki (1%) czy Włochy (0,8%), które do polityki prenatalnej przywiązywały wyjątkowo dużą wagę. Dotkliwa wyrwa demograficzna spowodowana przez II wojnę światową została stosunkowo szybko załataną przez systematyczny, ciągnący się do 1955 r. wzrost urodzeń przy nieznacznie rosnącej liczbie zgonów. Koniunktura demograficzna załamała się po 1983 r. kiedy urodziło się 723 tys. dzieci. Było to dwa razy więcej niż w 1999 r. Rosnąca stale liczba mieszkańców kraju (1980 r. – 31 mln, 1993 r. – 35 mln, 1998 r. – 39 mln) uległa zahamowaniu. Przesuwanie się wieku zawierania małżeństw oraz odkładanie „na później” narodzin pierwszego dziecka, często jedyne, powoduje nie tylko postępujące starzenie się społeczeństwa, ale także zmniejszanie liczby obywateli, których w połowie przyszłego wieku ma być tylko 35 mln, a więc tyle ile przed wybuchem II wojny światowej.

Demograficzne kłopoty Polski nie są odosobnione. Najsilniej dotknęły one Węgry, Bułgarię oraz wręcz ugodziły Łotwę i Estonię. Alarmy wznoszone z tego powodu były słuchane w państwach bogatych o tyle bez specjalnego niepokoju, że z kłopotami demograficznymi świat zachodni boryka się od kilku dziesięcioleci, a Francuzi od czasów napoleońskich. W 1999 r. w 15 krajach UE

przyszło na świat tylko 4 mln dzieci. Było to najmniej od zakończenia II wojny światowej. Jeśli ogólna liczba mieszkańców „15” zwiększyła się o milion, to wskutek napływu emigrantów.

Droga ta jest także możliwa w przypadku Polski, do której chętnie przeniosłaby się wcale spora liczba osób zza wschodniej granicy. Z przeprowadzonych w 1999 r. badań wynika, że aż 95% Rosjan w wieku produkcyjnym chętnie wyemigrowałoby z kraju dla podjęcia pracy i podreperowania swej egzystencji. Nacisk na polski rynek pracy ludzi osiągających miesięczne dochody w swoim kraju rzędu 15 dolarów jest równie oczywisty co i trudny do zatamowania. Zdecydowana kontrakcja władz polskich oraz wrogość lokalnego rynku pracy dla przybyszów obniżających cenę pracy spowodowały, że zjawisko zagranicznej szarej strefy stanowi w Polsce gospodarczy margines.

Odnotowania wymaga jednak społeczna, ponadlokalna akceptacja, nieraz nawet życzliwość dla tej części przybyszów ze Wschodu, którzy – tak jak niegdyś Polacy na targach w Berlinie, Wiedniu, Rzymie czy Świnoujściu – zdobywali środki na przeżycie lub budowali zręby osobistego biznesu. Dotyczy to także ludzi, którzy wykonują prace, na które wśród polskich bezrobotnych brak chętnych, m. in. z powodu konieczności zmiany miejsca zamieszkania.

W istniejącej i utrzymującej się w polskiej świadomości teorii o dwóch wielkich narodowych wrogach obawy wynikające z supremacji Rosji były w ogólnym rachunku mniejsze. Powody tego ponadczasowego stanu kształtowały się przez dziesięciolecia i zasadzały się na kultywowaniu sytuacji, w których Polacy byli równorzędnymi partnerami, a nawet „byli górą”. O trwałości tego myślenia dobrze świadczy ustanowienie dnia Wojska Polskiego w rocznicę zwycięskiej bitwy warszawskiej 1920 r. Decyzja ta powzięta przez otoczenie Piłsudskiego została potwierdzona przez polityków III RP, którzy co roku przypominają niezwykle złożoną sytuacją jaka towarzyszyła całej wojnie na wschodzie, zaliczanej współcześnie do szczególnie ważnych i chwalebnych kart polskiej

historii. Nie od rzeczy więc jest przypomnienie, że wyprawa kijowska, mieszcząca się w rzędzie kilku szczególnie ważnych, a samodzielnie powziętych inicjatyw państwa polskiego w XX w., od samego początku wyzwała namiętne spory. Wprawdzie zawsze podkreślano jej zasadnicze znaczenie dla ukształtowania się granicy wschodniej państwa, ale jednocześnie przypominano, że wyprawa ta postawiła pod znakiem zapytania istnienie dopiero co wywalczonej, wyplakanej i wymodlonej niepodległości. Wojciech Korfanty w „Odezwie do Ludu Śląskiego” z grudnia 1927 r. tak to ujmował: „gdyśmy tu walczyli o każdą piędź ziemi polskiej, która jest więcej warta, niż całe powiaty na Rusi, odpowiedzialni sternicy naszego państwa szukali szczęścia i sławy pod Kijowem (...). Niemcy zaś ludności górnośląskiej co dzień obwieszczali o upadku Warszawy i ryczeli nam pod oknami: *Finis Poloniae*”<sup>3</sup>.

Perspektywa taka była o tyle realna, że najważniejsi sojusznicy polscy nie mogli się zdecydować, który z nich ma udzielić wojskowej i materialnej pomocy. Dramaturgię sytuacji uwypukla zgoda premiera brytyjskiego Dawida Lloyd George’a na mediację pod warunkiem akceptacji przez Polskę linii Curzona, a więc biegnącej *grosso modo* wzdłuż Bugu.

Ukształtowane u progu międzywojnia przekonanie, że Rosjan można pokonać ugruntowało ich nieskuteczne poparcie dla Litwy poszukującej gdzie się tylko dało sprzymierzeńców w ich walce o odzyskanie Wilna: historycznej stolicy i ukochanego miasta, będącego dla Litwinów czymś w rodzaju Gniezna, Krakowa i Częstochowy razem wziętych. Zajęcie Wilna w wyniku samodzielnej inicjatywy Piłsudskiego w 1920 r. przekreśliło cały dorobek polsko–litewskiej tradycji opiewającej Grunwald i antygermańską solidarność słowiańską. Litwini wskazywali na Polaków jako na przedstawicieli narodu, który „od zawsze” zagrażał litewskiej tożsamości narodowej, a więc także ich niepodległości. Przechowują przeto w pamięci dzień 28 października 1939 r. kiedy Związek Radziecki przekazał im Wileńszczyznę w zamian za wprowadzenie na jej

---

<sup>3</sup> W. Korfanty, *Odezwa do ludu śląskiego*. Katowice 1927.

terytorium 30 tysięcznego kontyngentu Armii Czerwonej. Z tego przeto powodu obrzydzenie dla paktu Ribbentrop–Mołotow było i jest na Litwie mniejsze niż w innych państwach tego regionu dotkniętych znową radziecko–niemiecką.

Silny konflikt towarzyszący międzywojnemu współżyciu Polaków z innymi narodami zamieszkującymi nasze „kresy” i w ogóle Europę Wschodnią syntetyzują negatywne lub nawet fatalne efekty wszelkich planów federacyjno–prometejskich, realizowanych przy pomocy oręża, a później polityki polonizacyjnej wobec mniejszości (nieraz większości) narodowych. Z drugiej strony w filozofii czasu kształtowania się nowej mapy Europy Wschodniej po I wojnie światowej znakomicie mieściło się nawiązanie do tradycji granic najrozleglejszych do czego dodatkowo zachęcała sytuacja w Rosji pogrążonej w chaosie rewolucji. Nie zmienia faktu, że rozwiązania z lat 1919–1921 zdeterminowały stosunki Polski z sąsiadami. W ogólnym rachunku były one złe i bardzo złe. Oczekiwania na ich poprawę w ówczesnej Europie były płonne. Dlatego przyjęto, narzucającą się zresztą jako jedynie roztropna, zasadę równego traktowania obu wielkich sąsiadów. Była ona jedna możliwa do realizacji w sytuacji ich przejściowego osłabienia. Wraz ze wzrostem siły i znaczenia obu tych mocarstw sytuacja Polski uległa pogorszeniu. Ryzyko utraty suwerenności i niepodległości rosło. Polski punkt widzenia, w ogniu sprzecznych interesów i oczekiwań głównych państw kontynentu ważył mało. Chętnych do umierania, czy to za Sudety Czeskie, Kłajpedę czy też za Gdańsk nie było wielu ani w Paryżu ani w Londynie. Nie tylko więc stale brano pod uwagę możliwości akceptacji na terytorialne żądania pod adresem Polski – stawiane najpierw przez Republikę Weimarską, a następnie hitlerowskie Niemcy – ale także na mniej kategoryczne, acz równie dobrze znane roszczenia ZSRR do tzw. polskich kresów wschodnich. Przywiązanie do kojarzonej z lordem Curzonem granicy było na Zachodzie trwałe i na tyle silne, że tak przed wojną, jak zwłaszcza po klęsce Polski we wrześniu 1939 r. terytoria

rozciągające się na wschód od Bugu były traktowane jako naturalny, historycznie umotywowany obszar panowania Rosji.

Francuzi i Anglicy po prostu przyjęli do wiadomości, że „Polska została wykreślona z mapy Europy” – jak to ujął 24 września 1939 r. ambasador Francji w ZSRR Jean Payart. W tych samych dniach rząd brytyjski dopytywał się jakie stanowisko zajmie Moskwa w nowej sytuacji i „czy w planach rządu ZSRR w ostatecznym wyniku znajduje się Polska niepodległa”. Ambasador Majski nie był w stanie zaspokoić ciekawości ministra Halifaxa. Powiadomił go wszakże, że strona radziecka „odebrała tylko część tego co zabrano w roku 1920 i podkreślił, że linia demarkacyjna nie jest dla Rosji tak korzystna jak granica z roku 1914”<sup>4</sup>.

Rozpoczęta 3 września 1939 r. „dziwna wojna” – pisze Henryk Batowski – to wyjątkowo niebezpieczny okres w dziejach państwa polskiego. Splot czynników międzynarodowych (z najważniejszym – antypolskim współdziałaniem Niemiec i Rosji) powodował, że wchodził w grę najbardziej czarny scenariusz. Pożądanie pokoju na Zachodzie było wówczas tak duże, że znaczne okrojenie terytorium Polski było bardzo realne. W sprawie uznania linii Curzona w 1939 r. nie było rozbieżności ani między sojusznikami Polski ani jej wrogami. Natomiast granica Zachodnia, południowa i północna – jeśliby doszły do skutku marzenia o obaleniu Hitlera i utworzeniu rządu złożonego z „innych Niemców” – byłaby kształtowana przez negocjatorów biorących za podstawę stan z 1914 r.

Przez kilka pierwszych tygodni 1940 r. Polska znalazła się na wspólnej z sojusznikami orbicie antyradzieckiej. Zaoferowana przez Wielką Brytanię i Francję pomoc dla Finlandii zaatakowanej przez ZSRR otwarła możliwość włączenia do tej operacji żołnierzy polskich. Złożona w tym duchu deklaracja gen. Władysława Sikorskiego została przyjęta z dużym zadowoleniem. Jednak do wyprawy nie doszło, a nadzieje na włączenie przy tej okazji przedstawiciela

---

<sup>4</sup> H. Batowski, *Zachód wobec granic Polski 1920–1940*. Łódź 1995.

Polski w skład Najwyższej Sojuszniczej Rady Wojennej nie ziściły się. Gorzką i bezsilną irytację gen. Sikorskiego wzmogły kpiny propagandy radzieckiej o planowanym wysłaniu na front fiński „polskich najemników”. Nieprzyjemnym zgrzytem prac przygotowawczych było również to, że zostały one podjęte bez wiedzy rządu polskiego.

Filofińska aktywność rządu polskiego pogarszała i tak fatalny stosunek władz radzieckich do ludności polskiej, zwłaszcza 150 tys. internowanych oraz 330 tys. deportowanych. Symbolem poniewierki w nieludzkich warunkach oraz lekceważenia losu człowieczego stał się Katyń. Chociaż alianci wiedzieli kto jest sprawcą tej zbrodni wykonanej na ponad 14 tysiącach polskich oficerach i funkcjonariuszach państwowych nie wsparli protestu rządu polskiego. Wartość Armii Czerwonej, walczącej od 22 czerwca 1941 r. z Niemcami była dla Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych tak duża, że angażowanie się po stronie pretensji zgłoszonych przez Polskę nie wchodziło w grę. Instrumentalne traktowanie spraw innych państw i narodów, także sojuszniczych przez polityków mocarstw to – w sensie historycznym – zjawisko dobrze znane i wszechstronnie dyskutowane.

Pod tym względem rozwój sytuacji w II wojnie światowej wzbogaca doświadczenia wielu narodów, w tym także Polski, która w konfrontacji ze Związkiem Radzieckim nie mogła liczyć na poparcie pozostałych państw koalicji antyhitlerowskiej. Kiedy Tadeusz Romer opuszczał 5 maja 1943 r. Kujbyszew po zerwaniu stosunków polsko–radzieckich nie pozyskał ani Brytyjczyków, ani Amerykanów, ani nawet Kanadyjczyków do reprezentowania polskich interesów wobec rządu ZSRR. Jeśli zabrakło solidarności z Polską w obliczu sytuacji powstałej w następstwie tak ewidentnej zbrodni jak Katyń, to trudno być zaskoczonym różnie manifestowaną zgodą Londynu i Waszyngtonu na oczekiwany przez Moskwę przebieg radzieckiej granicy zachodniej. Sprawa ta będąca niezmiennie w centrum sporów i dyskusji Polaków, została przesądzona przez Anglików i Amerykanów zgodnie z oczekiwaniami Moskwy

już w 1943 r. Podczas spotkania ministrów spraw zagranicznych Wielkiej Trójki przygotowującego konferencję w Teheranie, do której doszło na przełomie listopada i grudnia 1943 r., Mołotow bez większych kłopotów przeforsował większość swoich żądań. Szefowie dyplomacji Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych – Anthony Eden i Cordell Hull wyrazili też wówczas zasadniczą zgodę na uznanie specjalnej sytuacji ZSRR na wyzwolonych terytoriach państw sojuszniczych, co stanowiło zapowiedź wyeliminowania rządu londyńskiego poprzez uniemożliwienie mu powrotu do kraju i wykonywania władzy. Zrozumiała, ale też wymowna była w tym kontekście niechęć Churchilla i Roosevelta do rozmów z premierem Mikołajczykiem zarówno przed jak i po konferencji w Teheranie. Oczekiwali oni wyraźnych ustępstw ze strony Polski, w tym zmian w rządzie, m. In. wyeliminowania polityków o antyradzieckim usposobieniu (jak Sosnkowski, Marian Kukiel i Stanisław Kot) co miał umożliwić rozmowy o wznowieniu stosunków polsko-rosyjskich i w dalszym planie – zgody na przebieg granicy zbieżnej z linią Curzona<sup>5</sup>.

Sugestie te miały tym cięższy kaliber, że w nocy z 3 na 4 stycznia 1944 r. Armia Czerwona przekroczyła dawną granicę wschodnią Rzeczypospolitej. Ważne dotąd określenie warunków współdziałania wojsk radzieckich z Armią Krajową oraz innymi polskimi formacjami wojskowymi uważanymi za część składową koalicji antyfaszystowskiej stało się teraz nieodzowne i bardzo pilne. Brak tych uzgodnień, co wynikało z całkowicie odmiennych celów działania rządu polskiego i radzieckiego, stał się jednym z elementów dramatu Powstania Warszawskiego, niezmiennie sytuującego się wśród najtragiczniejszych momentów polskiej historii. Bodaj poza dyskusją jest niezwykła ofiarność powstańców, w dużej części młodych i bardzo młodych, co dało asumpt do powielania słów Pigoń, że Polacy strzelają do wroga z brylantów. Wszystkie inne aspekty Powstania wywołują różnie motywowane spory, co wiązać należy i

---

<sup>5</sup> A. Czubiński, *Druga wojna światowa 1939–1945*. Poznań 1999, t. I–II.

z tym, że poniesione wówczas straty były ogromne, większe niż ponieśli Polacy podczas wszystkich razem wziętych zrywów powstańczych. Historyczny wymiar ofiar można łączyć nawet z tezą, że ukształtowana wówczas opinia o bohaterskich, nieobliczalnych nawet Polakach zaległa w świadomości przywódców radzieckich, kiedy rozważali zbrojną interwencję, tak jak to miało miejsce na Węgrzech w 1956 r. czy Czechosłowacji w 1968 r.?

W realiach 1944 r. Powstanie Warszawskie było przejawem dominacji polityki nad myśleniem wojskowym. Wobec miażdżącej przewagi technicznej III Rzeszy powstanie od samego początku było skazane na klęskę. Jeśliby Niemcy – jakimś cudem – opuścili Warszawę, to dzieło zduszenia Powstania wykonałyby wydzielone dywizje NKWD. Na komisarza politycznego tej operacji przewidywano Stanisława Raczkiewicza, późniejszego szefa UBP.

Powstańcy przez dwa miesiące karmili się wiarą w bliską, skuteczną pomoc Zachodu. Duża część polskiej klasy politycznej nie porzuciła tej wiary ani wówczas, ani później nawet gdy na światło dzienne wychodziły kolejne dokumenty świadczące o nielojalności, nawet zdradzie zachodnich sojuszników. Trzeba jednak zaznaczyć, że rząd polski w Londynie – tak ważny dla ciągłości istnienia państwa polskiego, coraz wyraźniej stawał się dla zachodnich aliantów niewygodnym partnerem. Władze brytyjskie i amerykańskie stroniąc od kontaktów pozbawiały polskich polityków nie tylko wpływu na proponowane rozwiązania, ale nawet informacje o stanie rokowań nad pokojem.

Pod tym względem w podobnej sytuacji był utworzony w lipcu 1944 r. z woli Stalina Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego. Siła i znaczenie tzw. Polski Lubelskiej opierała się na akceptacji planów i zamierzeń radzieckich, które zyskały generalną sankcję aliantów zachodnich podczas spotkania w Jałcie 4–11 lutego 1945 r. Sprawy tam rozstrzygane stały się podstawą największego w dziejach podziału politycznego Europy i świata. Dla Polski był to jeden z wielkich przykładów arbitralnych decyzji powziętych bez jej udziału. Uwypukla

to zmianę sytuacji Polski po obu wojnach światowych. Udział przedstawicieli państwa polskiego w rozstrzyganiu spraw żywotnie dla nich ważnych takich jak terytorium, ustrój, rząd, wojsko znajdowało się poza ich zasięgiem. Współdziałanie rządu londyńskiego ze Związkiem Radzieckim, mimo ponawianych nacisków, próśb i gróźb ze strony Anglosasów okazało się niewykonalne. Stanisław Mikołajczyk decydując się jako były premier na dialog z przedstawicielami proradzieckiej lewicy został okrzyknięty „renegatem”. Stanisław Cat-Mackiewicz broszurę wydaną w Londynie w 1945 r. opatrzył tytułem „Mikołaj Mikołajewicz Mikołajczyk”.

Pozycja Stalina, który zdołał w Poczdamie przeforsować wszystkie zasadnicze cele, jak również międzynarodowy autorytet ZSRR, a także komunistów jako szczególnie zasłużonych w pokonaniu faszyzmu były na przełomie wojny i pokoju ogromne. Wielu intelektualistów i artystów popularyzowało tezę, że komunizm jest nieuchronnym, historycznie uwarunkowanym etapem rozwoju cywilizacji, zdolnym pokonać najgroźniejsze jej plagi jak nacjonalizm, chaos gospodarczy, wielkie i małe wojny. Przekonanie o kresie kapitalizmu charakteryzującego się ekstensywną eksploatacją siły roboczej było rozpowszechnione w całym obozie lewicy, mającym w wielu państwach zachodnich jak np. Francji i Włoszech duże wpływy oraz w latach 1945–47 realny udział w sprawowaniu władzy. Ich dążenie do zmian znajdowało oparcie w społeczeństwie przekonanym, że każdy problem społeczny może być rozwiązany za pomocą stosunkowo prostych środków będących w posiadaniu państwa. Szczególnie duża po wojnie wiara w skuteczność inżynierii społecznej podpowiadała politykom radykalne rozwiązanie nabrzmiałych przez wieki problemów związanych np. z prawem własności, rolą Kościołów i religii.

Jeden z ważnych aspektów tego pogmatwanego węzła, tak w sensie społeczno–politycznym jak i emocjonalnym, podejmuje Marian Brandys, który wyjaśniał Jackowi Trznadłowi, że stając się przed wojną obiektem i świadkiem

rażących pogwałceń praworządności wszedł w czasy powojenne z kompleksem poniesionej krzywdy „Łudziłem się, że w nowej Polsce, w tworzeniu której uczestniczyłem, podobne krzywdy i niesprawiedliwości nie będą już możliwe. To zapatrzenie w nową sprawiedliwą Polskę mogło sprawić, że nie dostrzegałem lub nie chciałem dostrzegać krzywd i niesprawiedliwości spotykanych po drodze do niej”<sup>6</sup>.

Argumentację tą można rozciągnąć na sytuacje zawsze wyzwalające wielkie emocje, a związane z zamachem na święte prawo własności, co najsilniej w Polsce ujawniła nacjonalizacja przemysłu i reforma rolna, które wszakże trzeba połączyć z autentycznym sukcesem gospodarczego Planu Trzyletniego (1946–1949) i fanfarami głoszącymi socjalistyczną perspektywę w związku z przekroczonymi wskaźnikami Planu Sześcioletniego.

Polska stając się bez swej woli częścią zewnętrznego imperium radzieckiego stała się fragmentem wielkiej, globalnej rywalizacji. Cywilizacyjną dramaturgię położenia dzielącego świat od II wojny światowej na dwa antagonistyczne obozy uzmysławiają trudności ze znalezieniem miejsca dla Europy jako całości. Jej pomniejszona rola, ujawniająca się dobitnie w procesie uzgadniania warunków pokojowych po obu wojnach światowych, pozwala lepiej ocenić niebezpieczeństwo jakie zawisło wówczas nad Polską. Zarówno Amerykanie jak i Anglicy, jak tego dowodzą dokumenty udostępnione w pół wieku od narad jałtańskich nie mieli złudzeń, jaki charakter rządów będzie królował w strefie oddanej Moskwie pod kontrolę. Pocieszali się wszakże, że mieszkańcy Środkowowschodniej Europy są właściwie przywykli do rządów despotycznych i półfeudalnych, przesiąkniętych antysemityzmem i tendencjami imperialistycznymi. „Trzeba to wreszcie wykrztusić – pisze Janusz Tazbir – Polska Ludowa była wspólnym tworem Zachodu i Stalina. Alternatywą dla niej mogłoby być włączenie nas do Związku Rad w charakterze 17 republiki, a

---

<sup>6</sup> J. Trznadel, *Hańba domowa. Rozmowy z pisarzami*. Lublin 1993.

wówczas czekałaby Polaków o wiele dłuższa, bardziej ciernista i zapewne zbroczona krwią droga do niepodległości”<sup>7</sup>.

Twierdzących, że lepsza jest jawna niewola niż półsuwerenność czy nawet autonomia, zachęcać trzeba do oklaskiwania III rozbioru, który takie właśnie państewko likwidował. Swoistą kontynuacją dyskusji trwających na ten temat były i są wypowiedzi takich polityków jak Jan Nowak Jeziorański, który napisał w „Tygodniku Powszechnym” w 1992 r., że granice jego „ojczyzny nigdy nie objęły rządów Polski Ludowej”. Na tychże łamach odpowiedział mu Andrzej Drawicz, który upomniał się o uszanowanie innych doświadczeń, różnych od pielęgnowanych w kręgach politycznej emigracji: „Dla kilku pokoleń i większości ich przedstawicieli to co nazywano Polską Ludową, było zwichniętą u zarania i wykoślawioną przez dziesięciolecia – ale zawsze przecież POLSKĄ. Będąc zmuszonym w niej żyć, starano się ją uczłowieczyć; poszło na to wiele szczerego wysiłku i w efekcie od czasów poststalinowskich nie stanowiła ona jedynie wyszczerzonej maski zła”<sup>8</sup>.

Miejsce Polski w radzieckim imperium zewnętrznym było porównywalne z innymi państwami obozu radzieckiego, które także były pozbawione samodzielnego głosu, tak w sprawach polityki zagranicznej jak i wewnętrznej. Ideologizacja i dogmatyzacja życia publicznego osiągnęła apogeum w latach 1949–55. Karykaturalne formy przybrała wzmożona czujność w zakresie ochrony tajemnicy państwowej pojmowanej bardzo różnie, w zależności od woli i wyobraźni decydentów i kontrolujących. Jeśliby akcje te nie pociągały za sobą dramatycznych sytuacji i tragicznych konsekwencji, to byłyby w dzisiejszej optyce kpina. Kary dosięgały za wszelkie przejawy swobodnego myślenia, nie mówiąc już o mniej lub bardziej zawoalowanej krytyce systemu i jego niewzruszonej – jak twierdzono – opoki. Autora wypowiedzi, że w Zakopanym

---

<sup>7</sup> J. Tazbir, *Pożegnanie z XX wiekiem*. Warszawa 1999.

<sup>8</sup> *Polemiki wokół najnowszej historii Polski. Materiały źródłowe*. Wybór A. Magierska, A. Szustek. Warszawa 1994.

otworzono szkołę dla baców z trzema przedmiotami: wypędzanie owiec, zapędzanie owiec i języka rosyjskiego, spotkały represję.

Budowany na przemocy tzw. system socjalistyczny charakteryzował się dublowaniem i współlistnieniem dwóch głównych źródeł władzy: partii, która była władzą rzeczywistą oraz administracji państwowej pozorującej władzę. Nieefektywność tego systemu zdominowanego „ręcznym sterowaniem” oraz mechanizmem nakazowo–rozdzielczym ujawniła się zwłaszcza w sferze spraw gospodarczych. Powstanie w 1949 r. RWPG, będącego zamaskowaną formą hegemonizmu radzieckiego oraz instrumentem nacisku na mniejszych członków tego porozumienia, nie wywołało żadnych skutków w polityce i praktyce gospodarczej. Rozziew, później coraz bardziej widoczna przepaść między proklamowanymi celami gospodarczo–społecznymi komunizmu (socjalizmu) a stanem rzeczywistym, to fundamentalny element postępującej erozji systemu jako całości. Na temat jego historycznej roli oraz społecznego oblicza trwają i trwać będą spory, które odzwierciedlają także indywidualne doświadczenia osób represjonowanych z jednej strony i w różny sposób premiowanych z drugiej strony. Masowość obu zjawisk, jak również ich dynamika, nałożyły się na trwającą rywalizację globalną, w której raz po raz liderzy ZSRR zapowiadali, że już wkrótce dościgną, a rychło przegonią potęgę kapitalistyczne ... Propagandzie tej stale towarzyszyło przekonanie, że ZSRR jest nie tylko tarczą i drogowskazem, ale również życzliwym i hojnym opiekunem całego obozu i wszystkich walczących przeciwko imperializmowi sił na świecie. Tym starano się tłumaczyć wcale nie skrywany paradoks, że ZSRR to może pierwsze w dziejach imperium, w którym ludności zależnej, skupionej w „obozie państw socjalistycznych” wiodło się znacznie lepiej niż mieszkańcom metropolii. Nie tylko wśród części Niemców z NRD, ale także Polaków, Węgrów, Czechów czy Rumunów stale było obecne przekonanie o różnie motywowanej ich wyższości nad przedstawicielami „wielkiego brata”. Mawiano o nim z nutą lekceważenia i

ironii, że na temat ZSRR nie można mówić źle na tej samej zasadzie, jak unika się krytyki własnej rodziny.

W Polsce swoistymi bastionami antysocjalistycznego oporu był Kościół katolicki oraz silnie z nim związane środowisko wiejskie, skutecznie walczące o utrzymanie prywatnej własności ziemi. Ogromną rolę społeczną odegrali rzemieślnicy, sklepikarze oraz inni przedstawiciele stale gnębionego sektora indywidualnego w mieście, którzy stanowią trwający przez lata, a niedoceniany współcześnie element spajający dzieje Polski w XX w. Przywiązanie do tradycji, stale kultywującej walkę o wolność, religię i ziemię odegrało najważniejszą rolę w tym, że ani stalinizm, ani budowany na tych podwalinach system społeczno–gospodarczy nie były wiernym odwzorowaniem doświadczeń radzieckich. Stalin poirytowany nie dogadzającymi mu postawami Polaków chciał ich poniżyć stwierdzając – co upowszechnił zmarły w 1998 r. kardynał Augustino Casarolli, że „łatwiej z krowy zrobić wierzchowca, niż z Polaka komunistę”.

Na kolejnych etapach dziejów PRL, których cezury chronologiczne wyznaczają masowe odruch protestu szczególnie brzemienne w latach 1956, 1968, 1970, 1980 widać postęp w demokratyzacji stosunków wewnętrznych. Każda kolejna ekipa miała w tym jakiś swój udział przez co czasy Bieruta są pod tym względem nieporównywalne z dekadą Gierka. Uniemożliwia to też charakteryzowanie czasów PRL–u jako okresu zdominowanego przez stagnację stosunków społeczno–politycznych i gospodarczych, a już zwłaszcza określanie tego ustroju jako totalitarny. Widoczne w tym wypadku nadużycie, będące także udziałem osób z humanistycznym wykształceniem, przywodzi na pamięć utrzymujące się przez wiele lat przekonanie, że rządy sanacji były faszystowskie, a najważniejsze dla Piłsudskiego miejsce znajduje się u boku Hitlera i Mussoliniego. Bywa, że także piewcy tak pojętych prawd, czynią współcześnie z dziejów II Rzeczypospolitej temat tabu. Można o owych latach mówić dobrze, albo wcale co powoduje, że wywabianiu białych plam

towarzyszy pojawianie się nowych. Budowie nowych, jedynie słusznych pomników na miejscu wcześniej postawionych towarzyszy entuzjazm z powodu zapanowania „prawdziwej historii”, odpowiadającej wyobrażeniom o przeszłości będącej melanzem tradycji rodzinnej i propagandy PRL-u, fabuły filmowej, zwłaszcza popularnych seriali, prozy Sienkiewicza, Kraszewskiego i Łysiaka oraz popularno-naukowej, skądinąd poważnej publicystyki Bogusława Wołoszańskiego.

Niemal dwa pokolenia żyjące w czasach mniej lub bardziej realnego socjalizmu miały świadomość, że jest to słabnąca dyktatura, chociaż okresowo brutalna i krwawa. Zarówno jednak – powtórzmy to raz jeszcze – każdy kolejny kryzys posuwał życie społeczno-polityczne, częściowo także gospodarcze w kierunku „normalizacji” i zwiększającego się udziału społeczeństwa w życiu kraju, jego przybliżanie do systemu dominującego wówczas w wolnej części Europy. Szczególne miejsce w tej ewolucji zajmują wydarzenia 1956 r. nazywane polską rewolucją, w której powodzenie silnie zaangażował się Kościół katolicki, czego wyrazem było poparcie prymasa Wyszyńskiego dla głosowania do sejmu bez skreśleń. Nie zmienia to wszakże stale obecnej w praktyce politycznej tendencji do status quo ante, co znakomicie oddaje popularny komentarz z końca lat 50: co najbardziej się zmieniło po październiku? – Gomułka.

Fakt konfrontacji i stałego przenikania stanów odchodzących z nowymi, rodzącymi się historyków nie może szokować. Więcej nawet – pozorna antynomia, jak to lapidarnie ujął Ferdynand Braudel w formule „ciągłość i zmiana” ma głęboki sens, gdyż nieustanny ruch stanowi naturę procesu historycznego, jest przejawem żywotności narodów oraz cywilizacji jako całości. W tym ujęciu dobrze mieszczą się poglądy zwolenników konwergencji – teorii przeniesionej z biologii i etnologii do polityki; wedle tej teorii marksizm oraz praktyka państwa opiekuńczego realizowana przez państwa obozu radzieckiego wywarły niewątpliwy wpływ na ewolucję kapitalizmu,

wydobywając z niego humanitarne elementy. Z drugiej strony masowe partie komunistyczne zwłaszcza Włoch i Francji (niezależnie od dogmatyzmu wielu ich przywódców) funkcjonując w rzeczywistości kapitalistycznej i zdobywając nieraz 30 % poparcia społeczeństwa, stanowiły niemożliwy do zlekceważenia element ogólnoeuropejskiej panoramy. Zawirowania wywoływane przez Moskwę, które w sposób brutalny godziły w suwerenność państw będących częścią obozu socjalistycznego wywoływały na Zachodzie reperkusje, także oburzenie i głęboki ferment, często lży zawodu. Stany te bywały także udziałem nowego, daleko lepiej przygotowanego i wykształconego aparatu władzy, ludzi którzy w państwach obozu radzieckiego wdzierali się do polityki z przekonaniem, że stare formuły wyczerpały swoją siłę i powinny ulec zmianie. Mieczysław Rakowski, redaktor opiniotwórczej, czytanej przez inteligencję „Polityki”, w pisanym na gorąco „Dzienniku politycznym” pod datą 21 sierpnia 1968 r. zanotował: „Czołgi radzieckie, polskie, bułgarskie, węgierskie i enerdowskie wdeptały głęboko w ziemię te i tak już niewielkie okruchy nadziei, które człowiek jeszcze hołubił. Nie ma dziś już miejsca na jakąkolwiek wiarę w ideologię komunistyczną. Po 23 latach działalności politycznej dochodzę do wniosku, że popełniłem kiedyś omyłkę i to taką, która zaważyła na całym moim życiu. Trudno mi się teraz wycofać, porzucić swoją pasję”.

Powyższe słowa można uznać, za swoiste wyznanie wiary człowieka o dwóch obliczach, stanu dość rozpowszechnionego wśród ludzi będących na obrzeżach władzy, oferującej przysłowiowe konfitury. Wielu z nich w zaprzyjaźnionym, własnym środowisku krytykowało system i jego liczne wynaturzenia, natomiast na zewnątrz najczęściej operowało frazesem oderwanym od rzeczywistości. Karol Modzelewski, więziony w czasach PRL-u pisał w 1997 r. o „nadwiślańskim socjalizmie z perskim okiem” wspierając tym samym będącą w obiegu opinią o Polsce jako „najweselszym baraku w radzieckim cyrku”. Przekonanie to (upowszechniające się przy dużym udziale polskiej humanistyki, która odzyskała suwerenność znacznie wcześniej aniżeli

państwo polskie jako takie) zdobyło masowego zwolennika w latach 70. Stosunki tak się ułożyły, że ekipa Gierka i Jaroszewicza zręcznie i z powodzeniem lawirowała między otwarciem na Zachód a czołobitnością wobec radzieckich przywódców. Wielkie wrażenie robiła pompa z jaką przyjmowany był Leonid Breżniew w 1975 r., kiedy towarzyszyły mu hołdy, prezenty, ordery, ale też prześmiewna ulica: „starszuka usłyszawszy huk salwy armatniej pyta przechodnia: «Czy to wojna?» «Nie Breżniew przyjechał». Ponowna salwa znowu zaniepokoiła starszą panią: «A teraz to wojna?» «Nie – odpowiada przechodzień – Breżniew przyjechał». «A to za pierwszym razem nie trafili?»». Czasy gierkowskie niezmiennie utrzymują się na wysokim poziomie popularności społecznej. Aż 54% społeczeństwa polskiego po dwudziestu latach od przerwania jego dekady uznało ten okres za korzystny dla rozwoju kraju, a połowa ludzi była przekonana, że za Gierka żyło się lepiej niż po dziesięciu latach rządów III RP.

Źródłem tych opinii poszukuje się w posuniętej do przodu w latach 70. liberalizacji stosunków gospodarczo–społecznych, otwarciu na Zachód, znakomitych nigdzie później nie powtórzonych sukcesach niebywale wówczas popularnej piłki nożnej oraz takich indywidualnych gwiazd sportu jak Irena Szewińska, Marian Woronin, Ryszard Szurkowski, dużych nakładów na naukę, oświatę i kulturę. Trafnie spostrzega Jerzy Topolski w syntezie XX wiecznych dziejów Polski, że w latach PRL-u „Polacy nie tylko cierpieli i walczyli, lecz także żyli normalnym życiem rodzin, szkół, uniwersytetów, wsi czy fabryk. Prowadzili badania naukowe, byli bardzo aktywni w dziedzinie kultury i życia artystycznego”<sup>9</sup>. Dotyczy to i obejmuje tzw. polską szkołę filmową, której pozycję uwypukła Oskar dla Andrzeja Wajdy przyznany w 2000 r., za całokształt twórczości (a więc także „Popiół i diament” z 1956 r. czy „Popioły” z 1965 r.), dokonania znakomitych kompozytorów jak Lutosławski czy Penderecki, plejady powszechnie znanych twórców plakatu, ale też

---

<sup>9</sup> J. Topolski, *Polska dwudziestego wieku*. Poznań 1994, 1999.

unormowanych stosunków z Kościołem co pozwoliło kardynałowi Wyszyńskiemu powiedzieć Polonii Zagłębia Ruhry w 1978 r.: „Tak jak niegdyś śpiewaliśmy «Ojczyznę wolną racz nam wrócić Panie» tak dziś mówimy: «Ojczyznę wolną pobłogosław Panie». Pozytywną samoocenę Polaków, wysoko wyniósł wybór Karola Wojtyły na papieża, który znalazł się w rzędzie największych Polaków wszechczasów oraz światowych indywidualności ostatnich dekad XX w.

Rozwój stosunków społeczno–politycznych w Polsce z przełomu lat 70 i 80 awansował do tego grona Lecha Wałęsę, który ogromną popularność w Polsce i świecie zdobył jako lider ponadklasowego ruchu społeczno–politycznego „Solidarność”. Polska w ciągu kilku miesięcy stała się najważniejszym elementem trwającej przez dziesięciolecia rywalizacji bloków. Stając się forpocztą przemian ześlizgiwała się ona do roli potencjalnej ofiary jeśli pamiętać raz po raz ponawiane przez liderów ZSRR zapewnienia – jak to z lutego 1981 r. kiedy Leonid Breżniew obwieszczał: „Socjalistycznej Polski, bratniej Polski nie opuścimy w biedzie i nie damy skrzywdzić”.

Mnożące się obawy o rozważaną interwencję wojsk układu warszawskiego jak również ujawnione po obu stronach polskiej barykady postawy konfrontacyjne (w każdym razie grożące niekontrolowanym wybuchem i rozlewem krwi bratniej) skłoniły gen. Wojciecha Jaruzelskiego ówczesnego I sekretarza KC PZPR i premiera do wprowadzenia stanu wojennego. Decyzja ta, konsekwentnie charakteryzowana przez organizatorów stanu wojennego jako mniejsze zło, podzieliła naród. Spór na tym tle jest nadal obecny, chociaż w październiku 1996 r. – po wielu latach śledztwa, Sejm III RP uznał legalność stanu wojennego. Przybliżaniu się do takiego rozwiązania towarzyszyła opinia, ugruntowująca się wśród większej części społeczeństwa polskiego, że lata 80. stanowiły trudny, niewątpliwie dramatyczny i bolesny, ale konieczny etap polskiej transformacji. Rzecznicy takiego poglądu rekrutowali się także z

przeciwników planów dekomunizacyjno–lustracyjnych odwołujących się w skrajnych przejawach do eksterminacyjnej retoryki.

Oswobodzenie się Polski z radzieckiego ucisku oraz socjalistycznego sposobu myślenia o gospodarce nie było łatwe, proste, ani szybkie. W każdym przypadku w grę wchodził proces, który znajdował odbicie w różnych, także odległych od czystej polityki dziedzinach. Jednym z przejawów dokonujących się w PRL i III RP zmian może być demografia pokazująca wyraźne spowolnienie, później także obniżenie przyrostu naturalnego. Odnotowania też wymagają podjęte w latach stanu wojennego i kontynuowane, choć z ogromnymi trudnościami w latach następnych reformy gospodarcze mające na widoku stopniowe odchodzenie od systemu nakazowo–rozdzielczego. Siłą tego nieefektywnego systemu, który bez powodzenia starali się przezwyciężyć technokraci z otoczenia Gierka – Jaroszewicza wiązała się z formalnie przywódczą, ze stale eksponowaną rolą wielkoprzemysłowej klasy robotniczej oraz pełnym (okresowo nawet przymusowym) zatrudnieniem. Ważnym sygnałem i elementem dokonującej się ewolucji była ustawa z 26 lutego 1982 r., która rozpoczęła reformę systemu bankowego. Przemiany społeczno–polityczne i gospodarcze podlegające stałej presji zwolenników powrotu „Solidarności” do legalnej działalności (wielką sławę zdobyło w tych latach hasło: „Nie ma wolności bez «Solidarności»”) w połączeniu z nastaniem „ery Gorbaczowa” przywiodły społeczeństwo polskie do okrągłego stołu w 1989 r. Zasługuje on na potraktowanie jako najbardziej znamieny element ewolucji polskiej rzeczywistości, może także politycznej mentalności. Nie przeszkadza to jednak atakować go i traktować w kategorii zmywy postkomuny z niesprecyzowanymi bliżej „ciemnymi” siłami na szkodę i zgubę Polski narodowej i katolickiej. Z poglądem tym w pewnym sensie utożsamia się spora część opinii publicznej lat 90., w jednej trzeciej przekonanej, że krajem rządzą tajemne, ciemne siły, wśród których poczesne miejsce zajmują masoni, często z dodatkami „żydo” i „komuno”. Pogład ten utrzymuje się niezależnie od tego, że rabini nie pozwalali

Żydom na udział w pracach masonerii, a Międzynarodówka Komunistyczna już w 1922 r. podjęła specjalną uchwałę negatywnie oceniającą masonerię i odmawiającą komunistom prawa do służenia innym bogom.

Uszczypliwa czy wręcz negatywna opinia na temat „okrągłego stołu” (ponieważ najważniejsze sprawy zostały załatwione w wąskim kręgu w Magdalence) kontrastuje z wysoką oceną tego wydarzenia w kontekście nie tylko historycznych doświadczeń polskich (choćby kryzysów z lat PRL), ale zwłaszcza w optyce europejskiej. Konsensus pozwalający na liczenie głosów w urnach zamiast licytowania się o wielkość strat własnych oraz nigdy nie zakończonych sporów o to, kto pierwszy strzelił i która ze stron ponosi większą odpowiedzialność za rozwój krwawej konfrontacji, wystawia organizatorom „okrągłego stołu” wysoką notę. Był on bowiem ważnym i koniecznym elementem procesu prowadzącego Polskę w kierunku demokratyzacji i gospodarki rynkowej. Ewolucja ta spowodowała, że tak daleko idąca zmiana dotycząca nie tylko życia wewnętrznego Polski, ale też będąca wstrząsem dla układu sił w Europie Środkowowschodniej, dokonała się raczej łagodnie, bez rozlewu krwi. Uwypukla to historyczny wymiar osób współtworzących ten proces dowodząc nowej dyscypliny społeczeństwa, którego tęsknotę znakomicie oddały słowa wyśpiewane przez Jana Pietrzaka „żeby Polska była Polską”.

Satysfakcję towarzyszącą dużej części społeczeństwa polskiego pozytywnie oceniającą demokratyzację życia społeczno-politycznego w III RP, pomniejszają ostre spory na tle dekomunizacji i lustracji. Nikt nie skrywa, że problem jest trudny, bardzo złożony i wcale nie jednoznaczny. Pod koniec komunizmu – przypominał Andrzej Drawicz – działała półjawnie korzystając z osłony i udziału pół czy ćwierć zaangażowanych. Dzięki temu za główną siłę opozycji mogło uchodzić hasło: kto nie całkiem z nimi ten z nami. „Zastępowanie go – pisał w 1992 r. Drawicz w «Tygodniku Powszechnym» – po zwycięstwie pogrózkami dekomunizacyjnymi, w kategoriach zbiorowej odpowiedzialności jest gorzej niż błędem – jest świństwem”.

Ciągnącej się przez lata debacie dekomunizacyjnej towarzyszą duże emocje polityków zwłaszcza o rodowodzie „Solidarnościowym”, którzy nie skąpią sobie oskarżeń o wysługiwanie się w przeszłości „Komunie” lub paktowanie z nią współcześnie. Stopniowe wytracanie dekomunizacyjnego ostrza wynika z odrzucenia przez sejm w październiku 1999 r. tzw. ustawy dekomunizacyjnej przygotowanej przez Akcję Wyborczą „Solidarność”. Źródłem tej porażki (projekt przepadł już w pierwszym czytaniu) była duża, jak twierdzono później celowa absencja w Sejmie wielu posłów wchodzących w skład większości rządowej. Zapowiadane przez liderów AWS sankcje utonęły w stale ponawianej dyskusji, w której raz po raz – za ks. Józefem Tischnerem – przypomniano, że w każdej osobie wychowanej i wykształconej w latach PRL-u tkwi „homo sovieticus”.

Nie mniejsze zamieszanie, w klasie politycznej III RP zrobiła tzw. lustracja, czyli weryfikacja oświadczeń osób pełniących współcześnie ważne funkcje publiczne w sprawie ich współpracy ze służbami specjalnymi PRL-u. Postępowanie lustracyjne od samego początku wzbudzało liczne wątpliwości, które wybuchaly przy okazji „wojny na górze”, kiedy – według Gustawa Herling Grudzińskiego – „zasłużonemu przywódcy «Solidarności» spieszyło się bardzo do prezydenckiego tronu”. Na sporządzonej w 1992 r. przez ministra spraw wewnętrznych Antoniego Macierewicza liście znalazły się 64 nazwiska, w tym wielu czołowych polityków „Solidarności” zamieszanych w jakiś sposób w kontakty z UB i SB. Lustracja włączona do rozgrywek politycznych pokazała swą destrukcyjną dla państwa siłę w związku z ustąpieniem premiera Józefa Oleksego w 1996 r. Większość przesłanek sugeruje, że była to intryga uknuta przy udziale służb specjalnych III RP, za wiedzą i aprobatą osób z najwyższych piętter władzy. Skarlała wiara w lustrację jako formę moralnego oczyszczenia została przygwożdżona w związku z wyeliminowaniem w 1999 r. z rządu „solidarnościowego” wicepremiera, a zwłaszcza procesów lustracyjnych wobec kandydatów na urząd prezydenta – Aleksandra Kwaśniewskiego i Lecha

Wałęsy. Formy i metody poszukiwania prawdy wywołały powszechne zdumienie i konsternację. Opiniotwórcza „Gazeta Wyborcza” 28 lipca 2000 r. napisała o „lustracyjnym zamachu stanu”. Adam Michnik w artykule wstępnym zatytułowanym „Wobec draństwa” napisał, że zła ustawa lustracyjna „jest stosowana w sposób nieuczciwy” gdyż celem podjętej operacji jest „wyeliminowanie Kwaśniewskiego z grona kandydatów. Lustracja ma zastąpić demokrację. Ta niegodna manipulacja na zawsze okryje wstydem nazwiska tych, którzy są jej sprawcami”.

O to jakie w grę wchodzi nazwiska rozgorzał spór, którego końca nie widać. Nie ma przesady w twierdzeniu, że społecznym pogwałceniem różnej maści lustratorów i dekomunizatorów, ludzi z obrzydzeniem mówiących o Polsce w latach PRL-u były wybory prezydenckie w 2000 r., w których Aleksander Kwaśniewski został wybrany na prezydenta już w pierwszej turze. W dziejach Polski była to sytuacja nie mająca precedensu. Gabriel Narutowicz – pierwszy prezydent odrodzonej Polski piastował urząd kilka dni, jego następcą został de facto usunięty z urzędu przez zamach majowy, po którym Piłsudski wyboru nie przyjął wskazując Ignacego Mościckiego jako swojego kandydata, co Zgromadzenie Narodowe zaakceptowało. Ponowny jego wybór w 1933 r. oprotestowało wielu posłów i senatorów: spośród 555 członków Zgromadzenia w posiedzeniu wyborczym uczestniczyły tylko 343 osoby. Na wyznaczonego przez niego sukcesora we wrześniu 1939 r. Bolesława Wieniawę-Długoszewskiego nie zgodziła się Francja i prezydentem podziemnego państwa polskiego został Władysław Raczkiewicz, którego następcy pozbawieni zostali warunków wypełniania władzy. Także w kraju zdominowanym przez PPR i PZPR urząd ten został zepchnięty do roli ceremonialnej.

Powrotowi do zasad państwa demokratycznego towarzyszył wybór gen. Wojciecha Jaruzelskiego przewagą jednego głosu i niespodziewanie spieszne zastąpienie go po roku przez Lecha Wałęsę, którego sukces pomniejszała konieczność walki w drugiej turze z zupełnie nieznanym wcześniej emigrantem

Stanisławem Tymińskim. W tym kontekście zwycięstwo A. Kwaśniewskiego nad Lechem Wałęsą w 1995 r., a zwłaszcza powtórny wybór w 2000 r. przez 54% głosujących stanowi dobrze przyjęty w Polsce i poza nią przejaw dojrzałości społeczeństwa, jego niechęci do wszelkich ekstremizmów.

Finał wyborów prezydenckich w 2000 r. zjednał Polsce kolejnych sojuszników wśród polityków pozytywnie oceniających jej marsz w kierunku budowy nowego europejskiego ładu. Zdobywanie kolejnych punktów jest tym bardziej konieczne, że według badań „Times’a” przeprowadzonych w połowie 1999 r. współczesna Polska kojarzyła się na pierwszym miejscu z buntowniczą „Solidarnością”, komunizmem i stoczną gdańską, na drugim z II wojną światową, ruchem oporu i Oświęcimiem, dopiero na trzecim miejscu, u 20 % badanych z krajem przewodzącym przemianom w Europie Wschodniej.

Trwająca przez dziesięciolecia walka o przywództwo lub wysoka pozycję w tej części Europy wyrażała się nie tyle rywalizacją o zasługi, które coraz wyraźniej majoryzują zjednoczone Niemcy i o miejsce w całkowicie zmienionym układzie sił. Wprawdzie eksperyment socjalistyczno–komunistyczny zapoczątkowany w Rosji w 1917 r. okazał się zaułkiem historii i ulicą bez wyjścia, ale rozbudzone nadzieje, wpisane w stałe poszukiwanie lepszych warunków do życia i bardziej sprawiedliwego ustroju przekładają się na wysoką pozycję partii socjalistycznych z jednej strony oraz atrakcyjność programów populistyczno–nacjonalistycznych z drugiej. Obie te tendencje z punktu widzenia całego XX w. ujawniają ogromną żywotność. Dotyczy to zwłaszcza ruchów prawicowych znajdujących zawsze oparcie w nacjonalizmie, który – spleciony z socjalizmem – okazał się w wydaniu niemieckim najbardziej niszczycielskim huraganem XX w. Od II wojny światowej, która ukazała ogromne pokłady nienawiści ukształtowanej na podłożu różnic narodowych, nacjonalizm jeszcze bardziej kojarzy się z dążeniem do zdominowania jednego narodu przez drugi, zwykle większy, bardziej zasobny materialnie, często z wyższą kulturą.

Ideologia nacjonalistyczna, łącząca ludzi tej samej nacji i ujawniająca swoje niszczycielskie oblicze w stale zmieniających się formach ekspresji (np. w sporcie obficie korzystającym z zakazanej farmakologii) okazała się charakterystycznym elementem XX wiecznej rzeczywistości. Zawładnęła ona uczuciami zarówno narodów małych, jak np. Słowaków hołubiących dokonania księdza Tiso czy Chorwatów uznających Niezależne Państwo z lat II wojny światowej za piękną kartę narodowej historii jak i wielkich – by wskazać na Turcję, niosącą piętna ludobójstwa na Ormianach z lat I wojny światowej czy hitlerowskie Niemcy. Przykłady świadczące o żywotności ruchów prawicowych wspierających się na nacjonalistycznych fundamentach są bardziej obecne w państwach mających za sobą faszystowską lub jej podobną przeszłość. Dowodzą tego dzieje Włoch ze stale wpływowym Movimento Sociale Italiano, kłopoty Niemiec z piewcami hitleryzmu czy też wielka debata wywołana przez współtworzenie rządu w 2000 r. przez Freiheitliche Partei Österreichs. Ten ostatni casus był o tyle znamieny, że większość Austriaków nie traktowała lidera partii Jörga Heidera jako ekstremistę, kiedy twierdził, że niemieccy naziści nie zakładali obozów koncentracyjnych, ale „wychowawcze ośrodki dla przestępców”, lub gdy o Polakach mówił, że są złodziejami samochodów, Jugosłowian nazywał „ekspertami od włamań”, a Rosjan „mistrzami szantażu”. Niezwykle silne, w części tylko skuteczne naciski rządów Unii Europejskiej zmierzające do wyeliminowania prawicy z rządu austriackiego wzmogły zarazem wątpliwości dotyczące zakresu ingerencji czynnika międzynarodowego w sprawy wewnętrzne suwerennego, niepodległego państwa. Cała europejska prawica, mająca generalnie złe zdanie o postępującej integracji europejskiej, jako zamazującej fundamentalne dla niej odrębności narodowe, wszczęła alarm eksponując zgubne konsekwencje rządów lewicy, utożsamianej z ciemnymi interesami brukselskich eurokratów.

Ideologiczno–polityczny charakter konfliktu wokół składu rządu Austrii wiązano z bardzo wyraźną dominacją rządów centrolewicowych w państwach

Unii Europejskiej. W ostatnim roku XX w. 13 z 15 krajów Unii partie socjaldemokracji europejskiej uczestniczyły w sprawowaniu rządów, a w 11 socjaldemokracji byli premierami. Ton ich aktywności społeczno-politycznej i gospodarczej nadawali socjalistyczni premierzy trzech najważniejszych państw europejskich – Niemiec, Wielkiej Brytanii i Francji. Koncentrowała się ona na hasła budowy nowej cywilizacji, w której priorytet będą miały sprawy gospodarcze. Taki kierunek wytyczył na kolejne stulecie Kongres Międzynarodówki Socjalistycznej, który odbył się w Paryżu 8–10 listopada 1999 r. W końcowej rezolucji znalazł się postulat powołania pod auspicjami ONZ rady bezpieczeństwa gospodarczego, chociaż w dyskusji nie skrywano formalistycznego podejścia do tej sprawy, w kontekście dostrzeganego upadku autorytetu Narodów Zjednoczonych, a zwłaszcza krytykowanej powszechnie przepaści oddzielającej świat bogatych i biednych.

Lewica uważa się za szczególnie predestynowaną do przypominania światu, że na przełomie wieków tylko jedna trzecia ludzkości żyje w dobrobycie, natomiast aż dwie trzecie w niedostatku, nędzy, nawet endemicznym głodzie. W ciągu pięciu lat 1995–2000 liczba ludzi żyjących w ubóstwie powiększyła się o 200 mln osób, a jednocześnie 200 najbogatszych ludzi na świecie dysponuje takim samym majątkiem co dwa miliardy ubogich. Przelicza się, że ponad miliard ludzi ma na utrzymanie jednego dolara dziennie, natomiast co trzeci człowiek tylko dwa dolary. W grupie tej znajdują się oczywiście ludzie, którzy w sposób daleko rozbieżny zaspakajają swoje potrzeby życiowe. Ubóstwo w Wielkiej Brytanii, gdzie w ciągu ostatnich dwóch dekad XX w. liczba ludzi o najniższych przychodach zwiększyła się trzy razy, nie może równać się z biedą w państwach Wschodu Europy, a ta z kolei z dużymi połaciami Afryki, Azji czy Ameryki Łacińskiej. W tej optyce trudno nawet mówić, że ludzie którzy mieszkają np. w Stanach Zjednoczonych i Indiach żyją na tej samej planecie. Będąc w Indiach, kraju o ludności liczącej miliard, uświadamiamy sobie, że znakomita większość tych ludzi w ogóle nie

wie niczego o Europie, których Europejczycy uważają za indywidualności wieku.

Biedna część cywilizacji w niewielkiej części lub w ogóle nie uczestniczy w dobrodziejstwach związanych z epokowymi odkryciami nauki przekładającymi się na poprawę jakości i długości życia: aspiryna, insuliny, antybiotyków nie mówiąc o wiadrze, na którą w pierwszym roku obecności na rynku wypisano 9 mln recept. Laboratoria farmaceutyczne (10 największych wydaje na badania 20 mld dolarów rocznie) w spadku kolejnemu stuleciu przekazują leczenie trzech największych współcześnie bolących cywilizacyjnych: chorób serca, nowotworów oraz AIDS, nazywanej dżumą XX w. Jeden ze stu dorosłych mieszkańców naszego globu jest zarażony wirusem HIV, ale niewielu o tym wie ... Ogromne nadzieje na znalezienie skutecznych antidotów łączy się z postępem w badaniach genetycznych, które w końcu 1999 r. zaowocowały rozszyfrowaniem ludzkiego chromosomu. Znamienne, że odkrycia tego dokonała międzynarodowa grupa badaczy, których prace są finansowane przez najbogatsze państwa i koncerny świata, co nieuchronnie i coraz wyraźniej monopolizuje postęp naukowo–techniczny i płynące z niego zyski.

Prawidłowości podlegają wszystkie dziedziny globalnej produkcji i wymiany, co powoduje, że nierówność pomiędzy światem bogatych i biednych ulega zwiększeniu, jakkolwiek ogólny poziom życia stale podnosi się. Chociaż ludzkość jest nadal bezradna wobec różnych kataklizmów przyrodniczych z huraganami i trzęsieniami ziemi na czele, które dotykają wszystkich bez różnicy na posiadane dobra, to jednak postęp naukowo–techniczny minimalizuje skutki katastrof. Trzęsienie ziemi w bardzo gęsto zaludnionym rejonie Kyoto–Osaka w 1923 r. pochłonęło 150 tys. istnień, natomiast równie silne trzęsienie w tym samym obszarze w 1995 r. tylko 5 tys. osób, mimo niemal podwojonej i sięgającej 20 mln liczbie mieszkańców.

Ogólnospołeczny wymiar rozwoju elitarnej, wysokospecjalistycznej nauki ulega stałej ewolucji wraz z postępem w dziedzinie informacji, której rozległość i szybkość przepływu może budzić trwogę. Niewiarygodne wręcz przyspieszenie związane z ekspansją internetu uzmysławiają dane Komisji Europejskiej, wg których telefon – aby uzyskać 50 mln użytkowników na świecie – potrzebował 74 lata, radio – 38 lat, komputery osobiste 16 lat, telewizja 13 lat, natomiast internetowi wystarczyły tylko 4 lata. Dynamika ta zachęca do stawiania pytania o przyszłość, którą coraz bardziej utożsamia się z globalnym tj. trans granicznym i trans kontynentalnym przepływem informacji i kapitałów. Tendencja ta wywołuje bardzo silny sprzeciw także części humanistów, którzy twierdzą, że pod hasłami globalizacji skrywa się XIX wieczny, rabunkowy kapitalizm. Ten zaś – mówił Günther Grass w wykładzie z okazji przyznania mu Nagrody Nobla w końcu 1999 r. „tak samo jak komunizm, który sam sobą się udławił, okazuje się niereformowalny. Jego dyktat ma na imię globalizacja. I po raz kolejny twierdzi się z dufnym przekonaniem o własnej nieomyślności, że nie ma alternatywy”<sup>10</sup>.

Opinia powyższa znajduje akceptację wśród wyjątkowo zapalczych demonstrantów kierujących swą złość i nienawiść wobec polityków oraz instytucji uważanych za reprezentantów globalizacji. Obiektem szczególnej wrogości stały się Stany Zjednoczone, które w końcu wieku osiągnęły w świecie pozycję unikalną w dziejach nowoczesnej cywilizacji. Prymat Ameryki w świecie nauki dokumentuje liczba wynalazków, patentów i Nagród Nobla, które razem wzięte dają wyjątkową efektywność gospodarczą powodującą, że nadwyżka dochodów państwa nad wydatkami liczona była w końcu wieku w bilionach dolarów. Technologiczno-informatyczną przewagę Stanów Zjednoczonych nad Europą uzmysławia to, że wartość internetowego handlu członków Unii zamknęła się w 1999 r. sumą 20 mld dolarów, podczas gdy w

---

<sup>10</sup> N. Honsza, Günthera Grassa portret własny. Wrocław 2000.

USA przekroczyła 500. Ponad połowa amerykańskich domów miała podłączenie do Internetu podczas gdy w państwach Unii tylko 12%.

Znamienną drogę przeszły też Stany Zjednoczone w dziedzinie polityki, stając się ważnym, później głównym w końcu centralnym elementem stosunków międzynarodowych. Zwraca uwagę dynamika tego procesu od walki z brytyjskim kolonizatorem w XIX w., poprzez udział w obu wojnach światowych oraz zimnej wojnie, aż po zwycięstwo zakończone rywalizacją ze Związkiem Radzieckim i w zasadzie samodzielnie podejmowane decyzje w charakterze „międzynarodowego żandarma” wobec Iraku w 1991 r. czy Jugosławii w 2000 r. Nie był to jednak wyłącznie triumfalny pochód, wyzwalający powszechne oklaski. Głęboko tkwiącym cierniem była klęska w Wietnamie po wojnie nazwanej „brudną”. U progu nowego tysiąclecia świat zaszokowały informacje o zastosowaniu przez Amerykanów bomb i pocisków ze zubożonym uranem podczas interwencji w Jugosławii, co było prawdopodobną przyczyną białaczki u kilkudziesięciu żołnierzy włoskich, belgijskich, brytyjskich i czeskich. Chociaż przedstawiciele NATO zapewniali, że zubożony uran nie stanowi zagrożenia dla zdrowia, to jednak kilkanaście przypadków śmierci wśród żołnierzy europejskich, którzy służyli na Bałkanach, wzmogło dyskusję o całokształcie problemu. Zastosowanie broni masowego rażenia wywołało szok i panikę zwłaszcza w Jugosławii, gdzie domy zostały nie tylko zniszczone, ale dodatkowo napromieniowane. Zestawienie tych faktów nie wytrzymuje konfrontacji z humanitarnymi motywami jakie liczyły u podstaw operacji bośniackiej czy kosowskiej.

Tak jak Europa w minionych wiekach narzucała światu swoją cywilizację wyprowadzoną z tradycji grecko-rzymskiej, tak w miarę upływu lat XX w. wzmagano się ciśnienie kultury i cywilizacji anglosaskiej, która w ogólnym rachunku stała się bardziej rozwojową i dynamiczną od kultury romańskiej, a tym bardziej słowiańskiej. W czasie II wojny światowej zostało zakwestionowane przywództwo Europy co uwidoczniło się narodzinami

systemu jałtańsko–poczdamskiego zdominowanego przez globalne interesy supermocarstw oraz postępującą dekolonizację. Finał stworzonego pod egidą supermocarstw bezpieczeństwa opartego na strachu to nie tylko rozwiązanie Układu Warszawskiego w 1991 r., ale także usilne zabiegi większości „osieroconych” państw o przyjęcie do Paktu Północnoatlantyckiego. Połączenie procedury przyjęcia Polski, Czech i Węgier z uroczystościami 50 lecia powstania NATO to dodatkowy smaczek w tym niecodziennym polityczno–strategicznym menu. Nawiasowo można dodać, że przyjęcie Polski do NATO stanowi zachętę do reanimacji pojęcia przedmurza, które jedno ze swych marzeń łączy z pytaniem o miejsce Polski w wielopokoleniowych kontaktach prawosławnego i protestanckiego Wschodu oraz łacińskiego w istocie Zachodu. Rozszerzenie NATO na Wschód, ku granicy tradycyjnych, choć obecnie zakwestionowanych wpływów Rosji, wzmogło spór o to jak daleko ma być posunięta ingerencja amerykańska w sprawy europejskie. Francuskie próby osłabienia tej roli, mające silne oparcie w społeczeństwie od czasów prezydenta de Gaule’a, kiedy wyprowadził on Francję ze struktur wojskowych Paktu, znalazły w ostatnich latach wieku wsparcie w rządzie niemieckim, który poważnie redukuje budżet obronny i zapowiada uszczuplenie swego udziału w wydatkach NATO. Europejscy sojusznicy sprzeciwiali się zwłaszcza ponoszeniu ciężarów związanych z przyjęciem nowych członków, których armie wymagały całkowitego przebrojenia. Konsekwencje tej postawy były wielorakie i dla nowoprzyjętych niekorzystne. Jeśli bowiem w 1999 r. np. Polska była traktowana w Kwaterze Głównej NATO w Brukseli ulgowo w sprawie dochodzenia do standardów wojskowych obowiązujących w Sojuszu, to negocjacje w 2000 r. były już prowadzone na równoważnej platformie z pozostałymi państwami. Skutkiem tego na lata 2001–2006 przewidziano modernizację polskiej armii za sumę 16 mld zł. przy założeniu, że będzie ona miała 220 tys. żołnierzy (w 2000 r. liczyła 187 tys.). Ewolucja ta, pogłębiająca niezadowolenie niezadowolonych została wzmocniona przez sceptyków

mówiących o zamianie ról supermocarstw wobec Polski, której tradycyjnie pojmowana suwerenność zakończyła się w sierpniu 1939 r.

Pożywką dla tych nastrojów były zarzuty o neoficką nadgorliwość Polski zmanifestowaną w połowie 2000 r. przy okazji międzynarodowej konferencji w Warszawie zakończonej przyjęciem deklaracji „Ku wspólnej demokracji”. Jako jedyna odmówiła podpisu Francja, która – jak to ujął Bernard Margheritte w „Tygodniku Solidarność” 7 lipca 2000 r., „była przeciwniczką Układu Warszawskiego pod wodzą Sowietów i jest przeciwniczką nowego Paktu Warszawskiego pod wodzą Amerykanów”. Francuzom, czemu dawali wyraz w różnej formie, nie podobała się poszerzająca się obecność Stanów Zjednoczonych w państwach Europy Środkowo–Wschodniej, będących – poza wszystkim – obszarem tradycyjnie dużej obecności kultury romańskiej. Dlatego też – doradzał dobrze znający polską rzeczywistość Bernard Margheritte – Polska musi się zdecydować: może zostać 51 stanem USA, jeśli Amerykanie wyrażą na to zgodę, ale „po co zawracać głowę płaczącymi groźbami o jak najszybsze przyjęcie do Unii”.

Tak jednoznaczne połączenie obu wątków – natowskiego i unijnego – to zwrócenie uwagi na stale obecny, chociaż skrętnie i skutecznie minimalizowany konflikt interesów obu tych instytucji i podmiotów gospodarczo–politycznych. Wzajemne przenikanie ich zadań, a także przyznawanych ad hoc kompetencji podpowiada, że świat zdominowany przez NATO wszedł w nową fazę swego istnienia. Do powszechnego obiegu weszło pojęcie międzynarodowej interwencji humanitarnej polegające na obronie jednostki – lub grupy – przed represyjnym działaniem własnego państwa. Powoływanie się na prawa człowieka jako podstawy do interwencji to nie tylko przewrót w dotychczasowych stosunkach międzynarodowych, ale także nowe rozkładanie odpowiedzialności poprzez postępującą amputację roli takich czynników zaufania publicznego jak np. ONZ. Jeśli bowiem w 1991 r. ONZ dla obrony ludności kurdyjskiej z jednej strony i szyickiej z drugiej, zakazał

lotnictwu irackiemu lotów nad częścią ich własnego państwa, to już interwencja z powodu Kosowa w 1999 r. została powzięta bez udziału Rady Bezpieczeństwa, gdzie Rosja i Chiny chciały zgłosić veto. Także w tym wypadku prawa człowieka zostały uznane za wartość nadrzędną w stosunku do innych racji, tradycyjnie uważanych za święte, lub bardzo istotne w stosunkach międzynarodowych. Na domiar wszystkiego, co z perspektywy zasad nie ma podstawowego znaczenia, doniesienia o masowych zbrodniach Serbów na kosowskich Albańczykach nie były prawdziwe. Równocześnie, jak twierdzili Serbowie, pod osłoną wojsk NATO dokonywała się w Kosowie eksterminacja innych narodów jugosłowiańskich przez Albańczyków. Z 20–30% mniejszości serbskiej, dominującej wcześniej w Kosowie nie pozostało śladu. Z bezwzględną wrogością odnosili się też Albańczycy do około tysiąca miejsc kultu znajdujących się w Kosowie, które tradycja serbska nakazywała czcić jak największe ich świętości.

Nie brak wszakże głosów wskazujących, że zdecydowane włączenie się Stanów Zjednoczonych w tłący się od lat konflikt post jugosłowiański zagroziło rozlaniu się wojny na sąsiednie, a może i dalsze państwa. Trudności z przewycięzeniem konfliktu nawet wobec sojuszniczych państw, jak tego dowodzą Grecja i Turcja nie mogące od ćwierćwiecza porozumieć się w sprawie Cypru zachęcały Stany Zjednoczone oraz akceptujące ich przywództwo mocarstwa europejskie z NATO do zdecydowanego działania, wykraczającego poza dotąd praktykowane rozwiązania. Krytycy tej polityki, nazywanej nawet najpoważniejszym od końca II wojny światowej wypadkiem piractwa międzynarodowego, zarzucają Stanom Zjednoczonym arogancję i egoistyczne podejście do spraw bezpieczeństwa międzynarodowego. Z jednej strony wskazuje się na postępujący uwiad ONZ, czego wyrazem są m.in. ogromne zaległości w płaceniu składek do budżetu (spośród 52 dłużników są także Stany Zjednoczone), z drugiej zaś na nie ratyfikowanie przez Senat USA układu w sprawie zakazu prób nuklearnych. Wagę tej ostatniej decyzji uwypukla to, że

poprzednio podobną decyzję podjął Senat przed 80 laty, kiedy odmówił ratyfikacji traktatu wersalskiego podpisanego przez prezydenta Woodrowa Wilsona w 1919 r.

Pobrzmiwające opinie o „arogancji superpotęgi” znajdują oparcie w porównywaniu się Amerykanów z resztą świata. Wspieraniem dla tych tendencji są różne dziedziny życia społeczno-gospodarczego, czerpiące natchnienie z najwyższych domów, najlepszych aut, najwspanialszych hamburgerów czy najważniejszych wydarzeń, które wyrastając z amerykańskiego stylu życia i bycia rozlewały się po świecie. Optykę tą odwzorowują różne ankiety i sondaże dotyczące najważniejszych wydarzeń XX w., z których znakomita większość ma bezpośrednie lub pośrednie związki z historią USA. Jeśli można godzić się na priorytet zrzucenia bomb atomowych na Hiroszimę i Nagasaki, kapitulację Japonii, lądowanie Nila Armstronga na Księżycu w 1969 r. czy atak japoński na Pearl Harbor, to już odległa pozycja rozpadu Związku Radzieckiego, nieco tylko wyprzedzająca skandal obyczajowy w Białym Domu za prezydentury Billa Clintona uwypukla właściwe dla Amerykanów widzenie przeszłości.

Pod tym względem narody świata nie różnią się specjalnie i z reguły eksponują elementy wynoszące ich znaczenie czy to w regionalnej czy też w szerszej perspektywie. Naturalne przy takich okazjach porównywanie dokonań własnych z najlepszymi stanowi ważny element rozwoju dumy narodowej, będącej trwałym składnikiem tradycyjnego porządku międzynarodowego. Występujące w tym wypadku elementy partykularne są w kontekście dziejów XX w. coraz silniej majoryzowane przez cechy uniwersalne, znajdujące odbicie w postępującej integracji. Indywidualny człowiek – nie jako jednostka statystyczna, ale homo sapiens – jest coraz mniej obecny w świecie. Głębokie przewartościowanie towarzyszą też takim pojęciom jak naród, do którego chcą się zaliczać także świeżo przybyli imigranci i ich rodziny, w tym np. także sportowcy pozyskiwani do składów narodowych poprzez nadanie im podwójnego obywatelstwa.

Szczególnie dynamicznie rozwija się transgraniczny przepływ ludności w państwach Unii Europejskiej, skupiającej 375 mln ludzi z 15 państw, które razem wzięte reprezentują potężny potencjał gospodarczy. Nie jest on ani jednolity ani kompatybilny jak o tym świadczy fakt, że od 1999 r. tylko 11 państw zamieszkałych przez 291 mln mieszkańców stworzyło wspólny obszar walutowy. Europejski Bank Centralny z siedzibą we Frankfurcie nad Menem stawia wysokie wymagania gospodarcze nie tylko pozostałym członkom UE, którzy nie znaleźli się w „Eurolandzie”, ale zwłaszcza nowym, potencjalnym członkom. To jeden z powodów, że „Hymn do radości” Ludwiga van Bethovena, będący hymnem UE jeszcze długo nie będzie słyszany w wielu państwach Europy Środkowowschodniej, gdzie procesy dostosowawcze będą przebiegały w stałej konfrontacji prawideł gospodarczych ze złudzeniami.

Spółeczeństwo zachodniej cywilizacji, coraz bardziej mieszczańskie w swej mentalności oraz liberalne w sensie politycznym, z obawą rozważa zyski i straty płynące z rozszerzania się Unii i objęcia nią społeczeństw reprezentujących w wielu dziedzinach duży ładunek ryzyka. Także w tej optyce dalekie są oczekiwania na uznanie ludzi za sobie równych, na akceptację wielokulturowości obejmującej obyczaje, religię, rasę, kulturę. Motyw wyzwalań, uznany za siłę napędową XX w. zachowuje więc swoje znaczenie w perspektywie, obejmując kolejne fronty zmagania w tym generalną zmianę obyczajowości, aż po pełne równouprawnienie będące nieosiągalnym ideałem. Nie może być mowy np. o prawdziwej jedności Europy jeśli miałyby ona tolerować dominację jednego narodu (czy państwa) nad innymi. Nie można też zakładać budowy superpaństwa i superrządu, w ramach których silniejsi zdominują i wchłoną słabszych. Zarazem nie ma wątpliwości, że w procesie integracji europejskiej będącej także fragmentem globalizacji stopniowo zanikać będą narodowe odrębności. Tendencja do uniformizacji, tak jednoznacznie widoczna w muzyce i modzie młodzieżowej, obejmuje niemal wszystkie dziedziny zbiorowej konsumpcji – od motoryzacji po gusta kulinarne.

Cywilizacyjny bilans XIX w. został zaprezentowany na światowej wystawie w Paryżu w 1900 r., która przeszła do historii m. in. za sprawą 12 tys. lamp oświetlających monumentalny szklany Pałac Elektryczności, ruchomego chodnika nazwanego Ulicą Przyszłości oraz ogromnego ekranu (25 x 15 m), na którym pokazano filmy braci Lumière. Na EXPO 2000 w Hanowerze dominowały ekspozycje pokazujące świat na drodze do jedności, możliwości zbliżenia między ludźmi z wyeksponowaniem obrony naturalnego środowiska jako wartości bezcennej.

To przesłanie ma swoją wymowę jeśli zważyć, że wiek XX był czasem wojkowych i ideologów, czasem wojen i totalitaryzmów, a następny może być wiekiem negocjacji, kompromisu oraz pieniądza, które będą regulowały coraz bardziej rozbudzone ludzkie aspiracje.

Ed. Polska w Europie, Europa w świecie, w: Polska na tle procesów rozwojowych w XX wieku. Red S. Sierpowski. Instytut Historii UAM, Poznań 2002, s. 11-42.